

Odnowa

WYDAJEMY W KATOWICACH, WROCŁAWIU
I SZCZECINIE SZESZCZDZIESIĄTYSZÓSTY
NUMER TYGODNIKA LITERACKO-SPOŁECZ-
NEGO „ODRA”

Dnia 2 marca 1947 r.
Rok wydawnictwa trzeci.

Portret dyktatora



Prezydent Hermann Rauschning, autor „Rozmów z Hitlerem”, dopiął w narodowo-socjalistycznych Niemczech wszystkich godności, później jednak popadł w niełaskę i musiał uciekać. Książka ukazała się już w r. 1940 w Szwajcarii. W Niemczech jest nieznana, jak wszelka ważna literatura tych dwunastu lat; tylko nieliczne egzemplarze przedostały się przez granicę, nie wywierając oczywiście żadnego wpływu na oblicze Niemiec. „Rozmowy” pozostaną, podobnie jak inna książka Rauschninga, „Rewolucja nihilizmu”, głównym źródłem dla poznania historii epoki. Każdy, kto będąc na wysokim stanowisku, długo przyznawał się do Hitlera, chociaż nawet potem wystąpił przeciwko niemu jako „świadek koronny” musi pogodzić się z tym, że wzbudzi nieufność. Książka jednak sprawia wrażenie całkowicie szczerej; musiała w nim nastąpić gruntowna, wewnętrzna przemiana. Osobliwy to jednak w każdym razie fakt, że Rauschning mógł się tak długo mylić. Jeżeli nawet możliwe jest przypuszczenie, że odnośnie głównej osoby żył złudzeniami, to ludzie z otoczenia, których nazywa zbrodniarzami i bandytami, nie byli tak skomplikowanymi naturami. Rauschning był — zanim ogłoszony został wrogiem państwa pierwszej klasy — prezydentem senatu wolnego miasta Gdańsk, a więc namiestnikiem miniaturowej republiki. Ze swoich długich i bardzo poufnych rozmów, które w latach 1932—1934 w Obersalzbergu i kancelarii Hitlera przeprowadzał, czynił sobie natychmiast notatki.

Po niezliczonych, opatrzonych w pochlebstwa fotografiach Hitlera — realistyczny obraz zjawiska: czarny motek wasika, brzydkie czoło, oczy — jak gdyby naprzekór zachwyconej opinii publicznej — ani głębokie, ani błyszczące, lecz osłupiałe i poważnie jakby zgaszone. Głos stłumiony, gardłowy, niesympatyczny. Zachowanie — drobniemięszkańskie. W rozmowie — niezaradny. Ażeby być całkiem sobą, musi sam mówić, krzyczeć. Gdy się doń przemawia, nie słucha, dłużej w zębach. Nie czyta również sprawozdań, popada przy nich w zadumę. Stałe pograża się w letargu, osaczają go wątpliwości. Od nich uwalnia się w bezpośrednich ekstazach, tylko w ten sposób zdobywa się na czyn. Podług diagnozy Rauschninga nie był Hitler nigdy prawdziwym „człowiekiem woli”. Będąc słabej natury, potrzebował dla podźwignięcia samego siebie nerwowych podnieć, które wiodły go do gwałtownych impulsów. Skłonny do tliwości, nieraz wybucha płaczem. Swoje ustawicznie przyznawanie się do okrucieństwa dopiero na samym sobie wymusił. Przepojony jest jednak nawskroś nienawiścią.

Jeśli jego poglądy nie wpływały z całkiem określonego wewnętrznego kręgu, zdradzają także swoje nieokreślone pochodzenie i niepewny kształt. Myśli o polityce i o tym, jak ją należy prowadzić, mogłyby wskazywać na gorliwego czytelnika brukowych powieści. Tylko nieoprawni głupcy wierzą jeszcze, że wielkie decyzje zapadają podle tego, co nakazują obiektywne punkty widzenia i interesy narodów. W te rzeczy wierzy się jeszcze w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, ale z tej przestarzałej instytucji jest kanclerz Rzeszy,

Adolf Hitler, wysoce niezadowolony. Jakież interesy kierują zagranicznymi mężami stanu. Dążą oni do osobistej władzy, pieniędzy i zbytku. Dlatego musi kierujący nawą państwa umieć od swoich zastępców żądać informacji o przyzwyczajeniach i pasjach każdego ważnego człowieka. Musi on o każdym poszczególnym wiedzieć, czy jest pod względem erotycznym mocno wrażliwy, jakie mu się podobają typy kobiet, czy jest homoseksualistą. Następca Bismarcka poucza: „Dobry poseł musi umieć kojarzyć i fałszować.”

Wojna o panowanie nad światem była od początku sprawą postanowioną. Program podbój pokrywa się bodaj z pretensjami, jakie już dziesiątki lat przedtem wysunął najbrutalniejszy ruch Wszech-Niemców. Szczególnie przez rozszerzenie się na wschodzie musi powstać olbrzymie państwo, które rozciągać się będzie aż do Kaukazu, Ba, do Iranu. W środku — „stalowe jądro”, 100 milionów Niemców. Zamieszkają oni oprócz „Altreichu” i Austrii także Czechy, Morawy, Zachodnią Polskę i Kraje Bałtyckie. Czechów wysiedli się na Wołyn albo do Syberii. Do potężnego pnia przylegać będą od zachodu i wschodu zawisłe nie-niemieckie kraje. Dojdzie jeszcze fantastyczne, zamorskie państwo kolonialne. Dla stworzenia tej potęgi nie uważa Hitler ceny dwóch, a nawet trzech milionów zabitych Niemców za nazbyt wygórowaną, gotów jest ich „wziąć na własne sumienie”.

Wypowiedzi na temat religijnych podstaw Europy przypominają dawniejsze wolnomyślicielstwo dość pośledniego gatunku. Hitler zetknął się prawdopodobnie w swojej radykalnej młodości w habsburskiej metropolii (Wiedeń nazywał miastem „słowiańskich Metysów”) z takimi kołami. W katolicyzmie widzi wielkiego wroga, wyraża się jednak o nim

W r. 1940 ukazała się w Szwajcarii książka Hermanna Rauschninga pt. „Gespräche mit Hitler”. Nakreśliła ona doskonale wizerunek tego demonicznego i zbrodniczego dyktatora, tym cenniejszy, że wyszedł spod pióra Niemca. Książkę jego, nieznaną polskiemu czytelnikowi, omawiamy na tym miejscu szerzej, wyławiając z niej zwłaszcza momenty, dotyczące wewnętrznej charakterystyki zbrodniczego wodza III Rzeszy.

z uszanowaniem i wyznaje, że od zakonu Jezuitów dużo się nauczył. „Głupi to oni nie są.” Do ewangelickiego kościoła żywił Führer, witany przez „niemieckich chrześcijan” jako nowy mistrz, ostentacyjną pogardę. Te liberalne klechy zastąpią krzyż swastyką, a misterium krwi swego Zbawiciela zamienią na misterium krwi niemieckiego narodu. Z protestantami można zrobić, co się chce. Ich duchowni to „mali, biedni ludzie, uniżeni aż do całowania w rękę”.

Książka daje nam opis jednego z ataków szału: „Wydawał przeraźliwe, wysokie dźwięki, tupał nogą, bił pięściami o stół i ściany. Piana na ustach. W nieopisaną zapalczywość sapał i jęczał: „Nie chce! Wszystko precz! Zdrajcy!” Patrząc na niego było rzeczą zaskrzypającą. Włosy rozkosmane, szklany wzrok, twarz wykrzywiona i czerwona. Bałem się, że upadnie, że go szlag trafi. Ale nagle wszystko mijało. Chodził znów po pokoju i pochrząkiwał.” Przypomina to opisy z ewangelii, mianowicie opętanych, w których mieszkają demony. Wielu sądziło, że jakaś ciemna moc ma władzę nad Hitlerem; uwielbiające go kobiety przestrzegały go i błagały, aby się nie zaprzedał „czarnej magii”. Na podstawie sądu Rauschninga, był Hitler „ograniczonym i głęboko w swo-

ich instynktach niewolniczym człowiekiem”.

„Amoralność” została wypisana na jego sztandarze. Hitler chętnie się, że woli codzień składać sześć fałszywych przysięg, że zawrze każdy żądany układ i złamie go następnego dnia z zimną krwią. W nowej ludzkości, której on da podstawy, nie będzie moralności w starym stylu, sumienie jako wynalazek żydowski zostanie wymazane. „Chcę młodzieży gwałtownej, heroiczej, nieustraszonej, okrutnej... — wolny wspaniały drapieżnik musi dopiero znowu wychynąć z jej oczu.” Trzeba posiadać „sumienie dobre dla okrucieństw”. Skarży się, że bywa niezrozumiany. „Także generałowie są jałowi.” Chcą odgrywać rycerzy, wojnę prowadzić jak turniej. W nadchodzącej wojnie użyje bez namysłu bakterij jako niszczyteli, będą one przedtem przez niewinnych podróżnych importowane do wrogiego kraju. Wykształci się „technikę wyludnienia”. Wszystkie wschodnie narody, które rozmnażają się jak robactwo, muszą być wyteplone. Nie trzeba nawet będzie dużo krwi przelewać; wystarczy latami trzymać mężczyzn zdala od kobiet. Następcem zwycięstwa będzie tworzenie „Herrenvolku”. Twórców dostarczy ludzki rezerwoar SS. Darré i Himmler pracują nad planami społecznej hierarchii. Führer postanawia: „Naród niemiecki został powołany, ażeby dał światu nową warstwę panów”. Pomimo to nie jest ani wyłącznym nacjonalistą, ani nie wierzy poważnie w wynalezioną „aryjską” rasę. Wszystkie dzisiaj widoczne rasy muszą być uważane już za zepsute, szlachetna rasa przyszłości będzie się dopiero musiała za pośrednictwem sprawdzonych metod selekcji wyłonić. Dla propagandy był konieczny nacjonalizm krańcowy, który później miał być zaniechany. Godne uwagi jest zdanie Hitlera:

„Pojęcie narodu stało się puste”. Naród był hasłem i środkiem walki mieszczańskiej demokracji, nowa zaś rasa panów będzie amalgamatem wprawdzie nordyckiego gatunku, ale różnorodnym. „Syfiliś” demokracji został wypłeniony. Najbliżej arystokracji jest tataj stan średni, który składa się z narodowo-socjalistycznej masy, w łonie której jest duża liczba podwładnych, całkiem na dole znajdują się ci, którzy są obcego pochodzenia, nazywani otwarcie „nowymi niewolnikami”.

Zanim ten błogosławiony porządek na świecie będzie można uważać za zapewniony, usunięty zostanie chrześcijaństwo, który bardzo dobrze trzeba odróżnić od Kościoła. Hitler pragnie jego wyteplenia „aż do korzeni”. Nie istnieje dla niego żadna forma, ani reforma, która by chrześcijańskość mogła uczynić znośną w jego państwie. Stary Testament, Nowy Testament, jedno i drugie jest „takim samym żydowskim kłamstwem”. To samo odnosi się do kwestii żydowskiej. Hitler pozostawił swemu przyjacielowi, Juliuszowi Streicherowi, pełną swobodę i najszerze pole działania, był bardzo rad ze „Stürmmera”, jedyne pisma, które — jak sam twierdził — czytał chętnie i od „a” do „z”. Żyd jest dla Hitlera begunowym przeciwieństwem jego własnej istoty i woli. Nienawiść jego jest metafizyczna i dlatego nieubłagana i bezwzględna.

Nie jest zadowolony z tego, że widzi się w nim tylko dyktatora i wodza. Może nim być tyle blazen. On sam czuje się prorokiem, może nawet bogiem, zamyśla bowiem stworzyć ludzi piękniejszych i silniejszych niż płód Adama. Naukę swą uważa za coś więcej niż religię. Siebie samego uznał Hitler za największego znawcę masy, wystrzegał się też działania, przeciwnego jej uczuciom. Słucha ona, powiada, instynktów a nie rozumu. Dlatego nonsensem jest ustępować w przestachu przed masą. „Tylko sfanatyzowany tłum pozwala na kierowanie sobą.” Niebezpieczeństwo czyha w przytłumionej i apatycznej masie, która nagle wystąpiła ze swych brzegów. Hitler wybierał dla swoich trudnych wypadów zawsze ten moment, który tłumy mogły zrozumieć. Obliczał dokładnie działanie aktów terroru. W jego taktyce walki, mówi Rauschning, tkwiło ogromne psychologiczne doświadczenie i praca umysłu. Ostatecznym celem tej nieopisanego troski o masę było usunięcie masy z powierzchni ziemi.

Człowiek, który tak do dna masy sięgał, sam był jej esencją, upostaciowaną w jednostce. Tak samo jak ona był tylko w irracjonalnych impulsach zdolny do akcji. Kierował on sobą i państwem przez to, że sam siebie fanatyzował. W krzykliwej histerii odnosił zwycięstwo za zwycięstwem, dopóki ta cała fałszywa demoniczność, która nad nim panowała, nie złamała mu karku. Prawdopodobnie kryła się w owej nieokreślonej nienawiści rozumu, wiedzy, ducha, jasności, podświadomości nienawiść siebie samego jako człowieka-masy: świat, który wydaje takie stworzenia jak ja, musi być zburzony. Hitler ośmielił się powiedzieć o sobie, że jest największym twórczym geniuszem wszystkich czasów i był naprawdę największym, ale w dziele zniszczenia.

Paweł Kupke

Denazyfikacja

SPRAWA denazyfikacji jest sprawą całej Europy. Żle jest jeśli prasa polska czy francuska obserwując fiasko denazyfikacji w Niemczech, widząc jak proces ten zmierza ku coraz pełniejszej i szerszej rehabilitacji wszystkich hitlerowców, dorzuca do tego rodzaju notatki jedynie jakąś ironiczną uwagę czy wykrzyknik w rodzaju: oto Niemcy! Denazyfikacja właściwie przeprowadzona, to przede wszystkim nasza sprawa a potem dopiero sprawa Niemców.

Zapowiadało się z początku, że denazyfikacja Niemiec obejdzie się bez kompromisów. Wielu hitlerowców znalazło się od razu w obozach odosobnienia. Wkrótce jednak pokazały się pierwsze wyłomy w tym jednolitym zdawało się froncie przeciwko hitleryzmowi. Pojawiła się teoria o t. zw. małych i wielkich towarzyszach partyjnych. Zaczęto ją stosować w życiu. Przejdzie z jednej grupy do drugiej zależne stało się teraz często od tego, czy trybunał denazyfikacyjny jest przekupny czy nie. W Bawarii w trybunach zasiadali i zasiadają po dziś dzień członkowie partii hitlerowskiej. Jedno z satyrycznych pism berlińskich pokazało w styczniu br. dwa rysunki, przedstawiające dwie szubienice jednakowej wysokości. Na pierwszej wisiał mały



Parteigenosse, a ponieważ był mały, udusił się. Na drugiej szubienicy w pętli kołysała się uśmiechnięta głowa dużego Parteigenosse, a ponieważ był duży, sięgał nogami ziemi i nie udusił się. Ta satyryczna metafora jest satyrą gorzką, lecz prawdziwą. Denazyfikacja okazała się fikcją, fikcją tym niebezpieczniejszą, że w wielu wypadkach zalegalizowała powrót w życie publiczne, powrót na urzędy i stanowiska niewątpliwych hitlerowców. Wyroki denazyfikacyjne w wielu wypadkach zawierają pochwałę dla zrehabilitowanego, pochwałę za jego styl życia w okresie hitlerowskim, za świetny wykrój maski. Tak było na rozprawie dyrygenta Furtwaenglera, tak jest po rozprawach artystów, pisarzy, przemysłowców. Pochwała się maskę,

która przecież maską nie była, sławi się upór psychiczny choć było najoczywistsze tchórzostwo, wielbi się sam fakt przezwyciężenia „strasznej okupacji hitlerowskiej w Niemczech” choć godniej było umrzeć.

Denazyfikacja okazała się pomyłką, a stosowana wciąż jeszcze według ustalonych rok temu wzorów, pomnaża błędy. Naszą sprawą jest zastanowienie się nad sposobami likwidacji hitleryzmu w Niemczech, odseparowania hitlerowców od reszty narodu niemieckiego, prawdziwej edukacji w duchu demokracji wszystkich w ten sposób wysortowanych Niemców. Jesteśmy w sytuacji, w której więcej niż kiedykolwiek indziej mamy moralnych praw do wglądania w wewnętrzne sprawy Niemiec.

Uważamy, że sprawa ta powinna być przedyskutowana na łamach odpowiedniej i fachowej prasy, w pierwszym rzędzie „Przeglądu Zachodniego” i „Odry”. Dyskusja ta, w której — znając stan dzisiejszego niemieckiego państwa polskiego — nie braknie rzeczywiste fachowców głosów, winna dać odpowiednim czynnikom rządowym sporo materiału, koniecznego do zajęcia jasnego i odpowiadającego polskiej racji stanu oraz bezpieczeństwa całej Europy stanowiska.

Paweł Kupke

Dm 1 541 052

Cavaleria Britannica

Wojen nie kończy się na papierze; wprawdzie akty kapitulacji i traktaty pokojowe zależne są od kilku pociągnięć piórem, jednak pozostają one tak długo domkiem z kart, jak długo nie wybuduje się należytego podłoża dla papierowych paragrafów. Podłoże to jest psychicznym nastawieniem zwycięzców względem zwyciężonych i odwrotnie.

Narody okupowane przez Niemców nauczyły się prowadzić z nimi wieczną wojnę — narody nieznaną niewoli w najgorętszych chwilach wojny żyły w atmosferze pokoju. Kiedy pierwszym trudno jest przełamać opory wewnętrzne i zmienić swoje nastawienie do wczorajszych prześladowców, inne walczą tak długo, aż przeciwnik potknie się i upadnie, a następnie czym prędzej pozwalają mu wstać i strzepują pył z jego mundurów, pytając strokanym głosem, czy mu czegoś nie potrzeba. Europa podczas, a szczególnie po tej wojnie rzeczywistości podzieliła się na dwa obozy: jeden uznawał walkę na śmierć i życie i sam będąc bliski śmierci nie może zrozumieć, że przeciwnikowi trzeba jednak pozwolić żyć. Drugi uznawał walkę ze swoim niebezpiecznym rywalem: z chwilą, kiedy przestał on być niebezpieczny, trzeba mu pozwolić nabrać sił i uważać, aby między wczorajszymi jeszcze sojusznikami nie narodził się nowy, potężny rywal.

Polska patrzyła przed wojną na Niemcy jako na kraj ogarnięty swego rodzaju epidemią. Mieliśmy sami naturę bluszczy, który chętnie akceptuje obce ideologie, nie mogąc wytworzyć własnych, ale nie mogliśmy nigdy zrozumieć, jak może jakiś światopogląd kazać zapominać o sobie. 30 milionów Polaków tworzyło 30 milionów partii politycznych: łączył nas tylko stracony, zazwyczaj spóźniony trochę patriotyzm. Dla tego jednogłośnie piętnowaliśmy w GG wszelkiego rodzaju volksdeutschów — u nas przynależność narodowa tkwiła tak głęboko w podświadomości, że nie pozwalała nawet myśleć o jakiegokolwiek zdradzie. Każdy rok wojny stwarzał nasz patriotyzm coraz bardziej bezkompromisowym.

Dlatego nie możemy dzisiaj zrozumieć tych ludzi, którzy będąc jeszcze wczoraj wrogami Niemiec, bombardując ich miasta i fabryki, niszcząc na froncie Tygrysy i bunkry, potrafią dzisiaj występować jawnie i otwarcie w obronie wczorajszego wroga. Co więcej: starać się go tłumaczyć, osłabiać wymiar kary, tuszować popełnione przez niego zbrodnie.

Łatwo jest wszystko wytłumaczyć nieśmiertelną zasadą: balance of power. Łatwo jest wszystko położyć na karb wyrachowania wielkiego kapitału. Trudno jednak uwierzyć, aby takich chwytów używali znani ekonomiści, myśliciele i niezależni politycy anglosascy. Bez wątplenia sedno rzeczy tkwi tu w świecie zupełnie odmiennych rozumowań, w kompletnie różnym odczuwaniu winy i kary, zdrady i patriotyzmu. Stąd, pominiawszy już wszelkie uboczne względy, te różnorakie koncepcje Stanów Zjednoczonych Europy. Stąd dążność do zatarcia granic i różnic, języków i obyczajów. Stąd świadoma czy nieświadoma wola supremacji czy podporządkowania się w imię ideałów. Przymknijmy oczy na brud wielkiej polityki, czy wyższej dyplomacji. To są jednak zupełnie inni ludzie. Dziwni ludzie.

Znany ekonomista prof. Hayek, który opublikował kilka prac w obronie systemu kapitalistycznego, na łamach tygodnika „Spectator” kruszy kopię w obronie Niemców i Austriaków, b. członków organizacji hitlerowskich.

Czyni to zupełnie serio. Nawołuje do zaniechania masowej denazyfikacji, dowodząc, iż rozgoryczeni tą akcją Niemcy i Austriacy masowo powracają do ideologii narodowo-socjalistycznej. Ale zapomina prof. Hayek, że nie rozgoryczenie nawraca ich do tej ideologii, tylko zranienie dumy narodowej, poczucie klęski, wreszcie łagodna ręka okupacji. Gdyby prof. Hayek'a ktoś wychował w jednym systemie rządów, a potem kazał mu przyjąć inny, nie stosując żadnych sankcji, czy prof. Hayek powróciłby do wspomnień swojej młodości z rozgoryczenia?

Mato Kosyk

Modlitwa Serbów przed bitwą z Geronem

Mato Kosyk, wielki poeta Dolnych Łużyczan, który zmarł w okresie minionej wojny na emigracji w Ameryce, napisał tę modlitwę na podstawie autentycznych zapisków w kronice miasta Chociebuża.

Daj nam isć, Swantewit,
Daj nam wroga bić,
Daj w rękę tarczę i daj moc.
Wiedz nas bitwą ciężką
Abyśmy zwycięsko
ostali dzień i noc.

Wprowadź na rozłogi
Nieszczere wrogi,
Ojcom pomarłym pokój zwól,
Świętym popiołom ciszę;
Domy niech ukolysze
Szczęście, nie strach i ból.

Stoim przed twoimi
Wrotami świętymi
I każdy z nas zgina ci krzyż.
Serbski ty nasz Panie
Daj nam zmiłowanie
Szczęście i chwałę nam zbliż.

Pomścić daj zastępy!
Bądź Gero przeklęty,
Coś woje spisami zbroń;
Wsie nam zamarasil,
Zdradą byt zakwasil,
Złoczniając ku grzechom wiódł.

Daj nam isć, Swantewit,
Daj nam wroga bić,
Moc daj w potrzebny czas,
Za to wrogów kości
Naznosim ci dości
Na ołtarz twój w święty las.

Z dolnołużyckiego spolszczył
Wilh. Szewczyk

Wilk w owczej skórze



Tak wygląda denazyfikacja w Niemczech

Aby nie stwarzać rozgoryczenia radzi prof. Hayek ograniczyć się do ukarania jedynie przywódców hitlerowskich, natomiast setki tysięcy hitlerowców pozostawić na stanowiskach. Jest to metoda najłżejszego oporu okupacyjnego. Najstabilniej orientujący się Polak, który miał to nieszczęście być przez pewien czas członkiem „rasy niższej” zrozumie, że właśnie w ten sposób wzbudzi się w Niemcach rozgoryczenie i zaszczepi hasło buntu i opozycji.

Jedyną ich winą — tłumaczy dalej „drobnych PG-manów” prof. Hayek — jest to, że chcieli zaznać trochę spokoju i wygody i że znaleźli je po raz pierwszy podczas reżimu hitlerowskiego. W imię tego spokoju i wygody ruszyli drobni hitlerowcy na podbój świata, wybudowali obozy koncentracyjne i krematoria, wymordowali wiele milionów Europejczyków.

Mówiąc z oburzeniem o zwalnianiu z posad przez władze denazyfikacyjne członków partii i byłych oficerów armii hitlerowskiej Hayek pisze:

„Dziesiątki tysięcy najzdolniejszych młodych ludzi zostaje w ten sposób zdegradowanych na całe życie i to jedynie dlatego, że spełniali oni dobrze swój obowiązek patriotyczny”.

Rozumowanie a priori nielogiczne. W ten sposób powinniśmy z góry przebaczać i ulaskawiać dobrego złodzieja, dobrego mordercę, dobrego oszusta. Niemiecki obowiązek patriotyczny jest rzeczą mocno względną.

Twierdząc dalej — nie bez słuszności — iż wielu przywódców hitlerowskim udaje się uniknąć kary, Hayek stwierdza, iż wielkie rozgoryczenie w Austrii wywołuje świadomość, że to samo mocarstwo zachodnie, które obecnie stosuje surowe kary za samo należenie do organizacji hitlerowskich (w rodzaju zwalniania z posady — przyp. aut.) niedawno jeszcze oficjalnie uznawało organizacje paktujące z Hitlerem.

„Gdy hitlerowcy wyrzucili 7 Żydów, członków wiedeńskiej orkiestry filharmonicznej, Wiedeńscy mogli przynajmniej protestować. Nie mieli oni tego prawa, kiedy sojusznicy skreślili 40 członków tej samej orkiestry jedynie dlatego, że byli oni członkami partii hitlerowskiej, a przecież nie łatwiej jest uzasadnić zakaz grania na skrzypcach z powodu należenia do partii hitlerowskiej, niż z powodu pochodzenia żydowskiego”.

Jednym słowem — dlaczego Żyd ma być lepszy od hitlerowca? Tym bardziej, że jak twierdzi dalej prof. Hayek, olbrzymia większość członków partii narodowo-socjalistycznej nie wiedziała o okrucieństwach stosowanych przez hitlerowców. Jesteśmy zmuszeni żałować, że prof. Hayek nie złożył wizyty w naszym kraju trzy lata temu.

Profesor Hayek wywodzi dalej, że większość narodu niemieckiego i austriackiego zachowała do końca szczery idealizm, będąc raczej ofiarą Hitlera, niż jego wspólnikiem. Pogląd ten jest nam już znany z zeznań oskarżonych w Norymberdze.

„Wszystko to — kończy autor swoje wywody — dzieje się właśnie w chwili, gdy Austriacy słyszają codziennie od naocznych świadków opowiadania o okrucieństwach Czechów i Polaków wobec Niemców, okrucieństwach gorszych od wszystkiego, co widzieli oni podczas reżimu Hitlera”.

Nie jesteśmy anglofobami ale obawiamy się, że tego rodzaju wynurzenia stwarzają granicę nie do przebycia, granicę, za którą zaczyna się ośledź, rodzący nową zbrodnię, granicę między nami a narodem Hayek'ów.

Leszek Goliński

Perspektywa Odry



Bolesław Chrobry w ujęciu St. Szukalskiego. Pomnik ten miał stanąć w Katowicach

Po wyborach nastąpiły w Polsce wypadki, które szczególną wagę posiadają dla mieszkańców Ziemi Odzyskanych, dla nas wszystkich, osiadłych na Śląsku, Pomorzu, na Warmii i Mazurach. Zebrał się po raz pierwszy w odrodzonej, na nowo wyzwolonej Ojczyźnie Sejm Ustawodawczy, wybrano Prezydenta Rzeczypospolitej. Prezydent Rzeczypospolitej w swym orędziu do narodu polskiego stwierdza a stwierdzić może z dumą, że w ciągu niespełna dwu lat wskrzesiliśmy polskość na Ziemiach Odzyskanych, na których miliony Polaków znów żyje i pracuje dla Polski. Równocześnie słyszymy zapowiedź szerokiej amnestii dla przestępców politycznych, zarówno przebywających w kraju jak i na emigracji.

W świetle tych ważnych aktów państwowych i narodowych, aktów o historycznej doniosłości, o ileż wspanialej wygląda dwuletni nasz trud na Ziemiach Odzyskanych, o ileż sprawiedliwiej można go będzie ocenić za granicą. Ziemia Odzyskana są jednym z najważniejszych fragmentów dwuletniej walki narodu polskiego o odbudowę odzyskanego państwa, o naprawienie niezwykłych szkód materialnych i moralnych. Trzeba przyznać, że ten fragment walki zakończył się niewątpliwym zwycięstwem. Zorganizowana wola narodu była tym elementem, który reaktywował na Ziemiach Odzyskanych polskość w czasie o wiele szybszym, niż przypuszczali to najsmielsi fantaci, zwłaszcza ci z zagranicy. I jeśli nawet walka na tym odcinku jeszcze nie jest zakończona, jeśli nawet potrzeba będzie jeszcze wiele trudnych lat, by móc powiedzieć, że proces scalenia Ziemi Odzyskanych z ojczyzną jest już zakończony, stan, jaki na Ziemiach Odzyskanych zastała chwila uroczystego otwarcia pierwszego powojennego Sejmu, izby reprezentantów całego narodu, a więc także reprezentantów naszych ziem nadodrzańskich, ten stan pozwala nam na daleko idący optymizm w tej sprawie.

Prezydent Rzeczypospolitej razem z całym rządem zawsze okazywał największą troskę dla tych naszych nowych ziem, dla ich specyficznej problematyki. Wiara w te ziemie i troska o nie udzieliła się całemu narodowi, który służył rządowi szczerą pomocą w ich zagospodarowywaniu i polonizacji. To współdziałanie nie tylko uczuciowe, lecz także — i to przede wszystkim — praktyczne, trzeba będzie nadal kontynuować, aby na ziemiach tych nie wygasła nigdy wiara, nie wygasła praca. **Kora**

Gdy podjeżdżali do niewidocznego za zakrętem Gniezna, mało kto w tym wielmożnym tłumie pamiętał, iż celem świetnej i długiej pielgrzymki było oddanie czci relikwiom wielkiego męczennika. Godni towarzysze cesarza Ottona... najchętniej rozmawiali z nim albo o wojsku, albo o rozbudowie potęgi rzymskiego cesarstwa. „Bolesław twierdził, że wszystko byłoby możliwe do przeprowadzenia pod warunkiem jednak, by zapanowała zgoda i jednomyślność potęg tego świata: cesarstwa zachodniego, więc i Rzymu i cesarstwa wschodniego czyli Bizancjum. Pogodzenie tych cesarstw, tych dwóch pracujących na się potęg mogłaby przeprowadzić jedynie Polska, między nimi leżąca, kraj na tyle potężny a zwarty, by nikomu z sąsiadów nie opłacało się naruszać jej granice. Kto by przekroczył granice Polski od wschodu na rzece Bug, miałby przeciwko nie tylko Polskę ale i całe potężne cesarstwo zachodnie. Kto by przekroczył jej granice za Łabą od zachodu, potknąłby się nie tylko o Polaków, ale i o całą potęgę bizantyjskiego i rzymskiego Wschodu.

— A gdyby Polska zapragnęła wgrzyźć się za Bug, albo za Łabę — przerwał wywody Bolesława kardynał oblacjariusz Robert.

— Polska nad Łabą nie stoi — zachnął się Otto.

— Ale stać powinna — warknął Bolesław.

— Dlaczego? — cesarz spojrzął na niego zdumiony.

— Bo tylko my zdołamy ochrzcić te ludy, które naszą mowę rozumieją, a Niemców już zniechęciły.

— A jeżeli i was nienawidzić zaczną? — spytał kardynał.

— To wtedy zgina, i wieczna wojna toczyć się tu będzie na nieszczęście Zachodu i Wschodu.

— Na nieszczęście Polski — westchnął cesarz.

— Bóg wyznacza miejsce narodom i dba o ich los — zawyrokował Robert. — Polska ma być jednako Zachodem i Wschodem, kluczem zgody lub pomostem klęski.

(Władysław Jan Grabski: Saga o Jarlu Broniszu, III Rok Tysiączny)

Co robią Niemcy

Co przypomina bój o jedność Niemiec - Kapitalizm buduje państwo - Precz z wpływami, niech żyją wpływy czyli niemieckie sny



Strzeżcie pokoju! — Drzeworyt P. J. Breuera, jeńca w obozie Ascot pod Londynem

WIELKIM słowem w Niemczech jest w tej chwili centralizacja, zjednoczenie Niemiec. Stało się ono nagłe celem i symbolem najzacieśniej walki, jaką toczą zwolennicy jedności Niemiec z separatystami, federacjonistami wszelkiego autoramentu, z politykami holdującymi prowincjonalizmem politycznym. Czasy dzisiejsze żywo przypominają okres poprzedzający bezpośrednio ostateczne zwycięstwo hitleryzmu w Niemczech. I wówczas naczelnym hasłem wypisywanym złotymi głoskami na kwadratowych sztandarach było oprócz „Deutschland erchawe!“ programowe „für die deutsche Einheit!“ I wówczas zwolennicy federacjonizmu byli wrogami Niemiec a separatysty wkrótce mieli powędrować do obozów koncentracyjnych. Dziś sytuacja wygląda o tyle inaczej, że hasło jedności głoszone jest szczególnie gorliwie przez partie lewicowe a więc partie, które o jakieś reakcyjne zapędy posiadają trudniej, tym więcej, że kierownikami ich są przeważnie ludzie, którzy przez ostatnie szczególnie 12 lat pozostawali w ostrej walce z hitleryzmem.

OSTATECZNIE z separatystami bawarskimi można się łatwo uporać. Wszak nie uporządkowali oni ani jednej dziedziny życia niemieckiego do tego stopnia, by można o niej powiedzieć, że panuje w niej porządek i duch demokratyczny. Ochraniając hitlerowców i nawet liberalne władze amerykańskie zmuszone były wystąpić ostro przeciw tej po dziś dzień trwającej nazistowskiej sielance, wokół której atmosferę nietykalności stworzyły bawarskie trybunały denacyfikacyjne. Och, z bawarskimi separatystami łatwo dadzą sobie radę cięte języki publicystów berlińskich. Ale sprawa zaczyna być groźna, gdy z propozycją osobnego państwa zachodnio-niemieckiego występuje kapital, tak zagraniczny jak i rodzimy. Nic dziwnego, że „Berliner Zeitung“ z dnia 8. II. wyrwał się okrzyk grozy: Die Einheit Deutschlands ist bedroht! Koncepcja osobnego państwa zachodnio-niemieckiego wyszła z szeregów niemieckich kapitalistów, jak podaje pismo, i podchwyciona została serdecznie przez kapitalizm anglo-amerykański a nawet przez anglo-amerykańskie czynniki polityczne. Państwo to miałyby mieć stolicę we Frankfurcie nad Menem a dążeniem jego byłoby zbu-

dowanie trwałej bariery w środku Niemiec, oddzielającej wschodnie Niemcy od zachodnich. „Economist“ uzasadnił to niedawno w ten sposób:

Jedność całkowita wzmocniła by tylko konieczność wydawania w Niemczech dolarów i sterlingów. Podobnie argumentuje Walter Lippmann w „New York Herald Tribune“, uważając, że zjednoczone Niemcy stworzone by zostały jedynie dla nielicznych fanatyków jedności, że zjednoczone Niemcy byłyby ciężarem dla Europy i że jeżeli jeszcze w przyszłości wypłynie sprawa jedności Niemiec, to tę przyszłą dyskusję trzeba będzie oprzeć o pewne dokonane fakty. Za takie dokonane fakty uważa Lippmann konieczność stworzenia organizacji państwowej w zachodnich Niemczech. „Berliner Zeitung“ na to wszystkim mówi po prostu: Zachodnie Niemcy odłączone od wschodnich mają się stać kolonią międzynarodowego kapitału i monopoli.

AMERYKA i Wielka Brytania oficjalnie przez usta swych przedstawicieli rządowych w dyskusji tej nie wzięły dotąd udziału. Wielka Brytania jest zwolenniczką jedności głównie z tego powodu, by Niemcy stały się gospodarczo samowystarczalne. Rzecz jasna, że Rosji zależy także na wpływach politycznych w zachodnich Niemczech ale ponad wszystkim góruje interes gospodarczy, do którego Rosja po tych olbrzymich stratach, jakie przyniosła jej wojna niemiecka, ma chyba niemałe prawo. Z tego samego tytułu pochodzi żądanie Rosji do uczestniczenia w kontroli nad Zagłębiem Ruhry. Za polityczną jednością Niemiec z tych samych mniej więcej powodów opowiedzieli się ponad to Jugosławia, Polska i Czechosłowacja. Państwa te wyraziły równocześnie poglądy, że potrzebny jest centralny, demokratyczny rząd niemiecki.

OBRAZ Niemiec, który narysowałem powyżej, jest albo prześląknięty barwą sowiecką, albo też barwami demokracji zachodnich. Bo nawet separatysty bawarscy głoszą tylko swój separatyzm w odniesieniu do Prusaków, do zmienianej w Bawarii „pruskiej inwazji“, z radością podkreślając swą duchową, a w pewnym sensie także i polityczną łączność z krajami Zachodu.

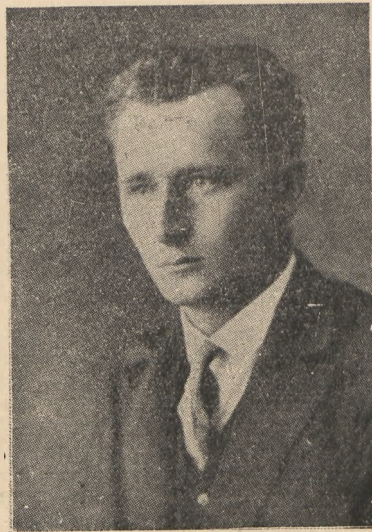
Ten obraz nie jest jednak całkowity. W styczniowym numerze dwutygodnika „młodych ludzi“ pt. „Horizont“ nazwano Niemcy krajem środka i stwierdzono, że nie mogą się oni poddawać żadnym wpływom. Jako kraj środka Niemcy muszą stanowić tego rodzaju siłę, która by uchroniła ich zarówno przed zagładą jak i zbyt silnymi a przez to deformującymi charakter Niemiec wpływami Wschodu lub Zachodu. Pismo przyznaje łaskawie, że warto się od Rosji Sowieckiej nauczyć odgórnej organizacji gospodarczej, zaś od zachodniej demokracji, jak należy organizację tę przeprowadzić od dołu. Pismo występuje ostro przeciwko polityce z punktu widzenia jakiegoś światopoglądu a jest za polityką wynikłą z konieczności i potrzeb socjalnych i z analizy politycznych stosunków międzynarodowych. Zwalczając politykę „światopoglądu“ opowiada się jednak półgłosem za polityką według uznanych tradycyjnych ideałów narodowych, nazywając je odwiecznymi ideałami narodu niemieckiego.

RÓWNOCZEŚNIE szerzy się w Niemczech inne poglądy, które mogłyby wyglądać jak niewinne utopie, gdyby nie nasza wścibskość, która za kulisą każdego pięknego wszechhumanistycznego hasła z łatwością odkryje antyhumanistyczną znowę. Mówi się w Niemczech często, chętnie i głośno o Pan-Europie. Ale dodaje się zaraz: Jest rzeczą niezwykle antyhumanistyczną, jeżeli na pierwszy kongres paneuropejski w Zurychu nie chce się zaprosić przedstawicieli Niemiec lub pragnie się ich dopuścić jedynie w ograniczonej roli „obserwatorów“. Dziwne — pisał cytowany już „Horizont“ — że ci, którzy uczą nas humanizmu i demokracji, sami wyznają humanizm dość osobliwy. Jeśli ślą nam pozdrowienia i mówią nam: Nie bójcie się, nie dajmy wam zginąć, tylko z odwagą walczyć z nazizmem — to z trudnością przychodzi nam ukryć naszą bojaźń i strach, gdy zarówno w Londynie jak i w Zurychu będą mówili o nas bez nas, o Europie bez nas, choć jesteśmy przeciw częścią Europy. — Takie to są zabawy i sny niemieckie. Ciągłe jeszcze wydaje im się, że są częścią Europy, której się sprzeniewierzyli, którą zniszczyli i okradli. Ciągłe im się zdaje jeszcze, że szlachetne hasła powinny się już dostać w ich skrwawione ręce.

WIARA Niemiec będzie wiarą Europy — powiedział niedawno Schumacher w Hamburgu — wiara, którą buduje w naszych serech demokracja — dodał. Wydaje im się, że znowu staną się natchnieniem Europy, tak jak byli nim długi czas przez swych filozofów i poetów, muzyków i artystów. Wszystko to jednak są sny nielicznych, sny drukowane, które zastosowania w życiu nie mają i mieć jeszcze nie mogą. Głód i nędza, partykularizm i niezgoda nie sprzyjają temu. Zjednoczenie Niemiec, do którego z różnych pobudek zmierzają Anglosasi, Rosjanie i sami Niemcy, może sprawić, że sny te wejdą w życie codzienne jako jego program. „Jedność“ ma nasycić Niemców, aby troska o ich żołądki, przestała być ciężarem dla Europy — powiedziano w angielskiej Izbie Gmin, kiedy dyskutowano sprawę centralizacji Niemiec. Ludowe przysłowie ze Śląska mówi zaś tak: Jak mo Niemiec rzyć chudo to sie go prędzej zbić udowiesz.

Alojzy Targ

Zginął jak bohater



S. p. Paweł Musioł został ścięty 19 lutego 1943 r. w Katowicach. W bieżącym zatem roku mijają 4 lata od jego śmierci. Zanim w obszerniejszym opracowaniu o mówimy o działalności tej najwybitniejszej postaci z młodszego pokolenia polskiego na Śląsku, pozwolimy sobie przy tej sposobności scharakteryzować pokrótce wojenną pracę Pawła Musioła. W okresie bowiem wojennym ujawniły się w całej pełni wspaniałe cechy tego wyjątkowego charakteru.

W sierpniu 1939 r. powołany został w toku akcji mobilizacyjnej do wojska. Kampanię wrześniową odbył z IV pułkiem piechoty jako dowódca grupy karabinów maszynowych aż do Rawy Ruskiej, gdzie po bitwie dostał się do niewoli. Po ucieczce z niewoli wrócił w październiku na Śląsk. W pierwszych dniach listopada 1939 r. otrzymałem od Pawła list, w którym wzywał mnie w pilnej sprawie do Cieszyna na 10 listopada. Było to pierwsze spotkanie konspiracyjne, w jakim brałem udział. W spotkaniu tym wzięło udział 6 osób, z których 5 zginęło w pracy podziemnej. Na tym pierwszym spotkaniu uzasadnił s. p. Musioł konieczność pracy konspiracyjnej, omówił metody pracy i wyznaczył obowiązki. Głównym celem naszej grupy było wojskowe zorganizowanie całego powiatu bielskiego i cieszyńskiego wraz z Zaolziem. Zadanie było o tyle trudne, gdyż tzw. Śląsk Cieszyński — z wyjątkiem Zagłębia Karwińskiego i rejonu Trzyńca — nie miał prawie żadnych tradycji w tym kierunku, w porównaniu z tzw. Śląskiem Górnym (powstania). Poza tym o ile typ Polaka górnośląskiego przedstawia pierwszorzędną materię do tego rodzaju roboty, to typ Polaka na Śląsku Cieszyńskim, z ogromną przewagą elementu wiejskiego, spokojnego, mało bojowego, nie nadawał się w tym stopniu do pracy konspiracyjnej i wymagał odpowiedniego wychowania i wyszkolenia. Tym niemniej w ciągu zimy 1939/1940 roku zdołała się organizacja zaciepić we wszystkich ważniejszych ośrodkach terenu. Było to w pierwszym rzędzie zasługą Musioła oraz rezultatem jego wyjątkowego talentu organizacyjnego oraz jego energii i pracowitości, które go zawsze tak bardzo wyróżniały w każdym środowisku.

W pierwszych tygodniach 1940 roku zaszły w naszej pracy organizacyjnej ważne wydarzenia. Koledzy, prowadzący pracę organizacyjną w terenie, natknęli się na akcję innych grup konspiracyjnych. Już w pierwszych dniach naszej pracy wydał Musioł polecenie, że w wypadku zetknięcia się z innymi komórkami, należy o tym bezzwłocznie meldować i zbadać charakter grupy. Po zebraniu dokładniejszych informacji okazało się, że chodzi tu o dwie grupy: 1) o poważnie rozgałęzioną już w rejonie przemysłowym górnośląskim grupę J. Korola, 2) grupę E. Zajączka, aktywną na terenach krakowskich wcielonych do Rzeszy i na terenie powiatu bielskiego. Po nawiąza-

niu kontaktu z tymi grupami zdecydował Musioł podporządkowanie całej roboty Korolowi — to samo zrobił Zajączek — który w tym czasie miał już mandat ZWZ. (Związek Walki Zbrojnej) na Śląsk, a więc mandat organizacji macierzystej. Ukonstytuowanie organizacji w nowym składzie nastąpiło ostatecznie w pierwszej połowie kwietnia w Skoczowie. W wyniku konferencji Zajączek i Musioł weszli do Komendy Okręgowej ZWZ, jako bezpośredni zastępcy Korola. Uporządkowanie sytuacji w terenie nastąpiło nieco później na konferencji w Bielsku. Należy tu wyjaśnić, dlaczego te wszystkie ważne decyzje zapadały na tzw. Śląsku Cieszyńskim, skoro główny tron ówczesnej akcji wojskowej stanowił przecież okręg przemysłowy Katowice - Chorzów. Wszyscy wybitniejsi działacze z wyjątkiem Zajączka byli zbyt dobrze znani w okręgu przemysłowym ze względu na swą przedwojenną działalność, zwłaszcza Korol i Musioł, stąd jako miejsce zamieszkania obrali powiaty cieszyńskie.

Maj 1940 r. przyniósł ważną zmianę w życiu wojennym Musioła. Gestapo wykryło po dłuższych poszukiwaniach jego miejsce pobytu, ścigając go za przedwojenną działalność anty niemiecką. Szczęśliwie uniknął wtedy aresztowania, ale odtąd musiał się już ukrywać. Na propozycję przeniesienia się do GG. odpowiedział, że nie może z tego skorzystać, bo była by to dezeracja od obowiązków, których się podjął. Przejście na drogę całkowitego nielegalnego życia ograniczyło też wybitnie Musiołowi swobodę ruchu. Było to ze szkodą dla całości pracy ZWZ., gdyż w komendzie okręgu był Musioł z uwagi na swój wybitny umysł polityczny szczególnie cenną pozycją.

W tym okresie ukrywania się tkwił bez przerwy w pracy konspiracyjnej i w dalszym ciągu kierował powierzonymi sobie terenami. Ukrywał się w różnych punktach między innymi w miejscowości Brenna (w górach) u górali Madzi. Kiedy w czerwcu 1940 r. odwiedziłem go w Brennej, zastałem go przy pracy nad zagadnieniem przyszłej granicy Polski na zachodzie. Przy innej sposobności omówiły tę nader ciekawą pracę Musioła, a pierwszą rzecz w ogóle, jaka pojawiła się u nas na temat granicy Polski na Nysie Łużyckiej i Odrze.

Druga połowa 1940 r. stanowi niesłychanie bolesny okres w dziejach ruchu podziemnego na Śląsku. Poniósł on wtedy bardzo dotkliwe straty. Zaczęło się od tragicznej śmierci Józefa Korola w Wiśle. W dalszej serii ciosów nastąpiła likwidacja Komendy Okręgowej przez Gestapo i najważniejszych komórek powiatowych. Obowiązki komendanta po s. p. Korolu objął inż. Szmechta, ale pełnił je zaledwie 2-3 miesiące, gdyż padł ofiarą w toku likwidacji drugiej z kolei komendy ZWZ. Ostatni w tym łańcuchu aresztowań, jaki dotknął w tym okresie polską akcję wojskową na Śląsku, odszedł s. p. red. Zajączek, który został aresztowany z początkiem stycznia 1941 r.

Bezpośrednio po śmierci Korola zdecydował się Musioł zmienić miejsce pobytu i przeniósł się do Cieszyna. Przewidując pewien chaos, jaki może powstać w terenie, pragnął ułatwić sobie z nim kontakt. Cały ten okres czasu aż do zimy 1940/41 poświęcił na intensywną pracę organizacyjną w bezpośrednio podległym sobie terenie, który też doprowadził do prawdziwie świetnego rozkwitu. Niewątpliwie zbyt świetnego jak na drugi rok wojny. Obok pracy, którą prowadził na własnym terenie, interesował się żywo całością okręgu, zwłaszcza w okresach likwidacji sztabów okręgowych.

W czym przejawiała się działalność organizacji wojskowych na Śląsku w tym okresie czasu, ściśle, na czym polegała praca jed-

nostek organizacyjnych w rejonie Pawła Musioła? Obok roboty ściśle organizacyjnej, polegającej przede wszystkim na rozbudowie sieci terenowej, prowadzono akcję szkoleniową, uzbrojenia, dywersyjno-sabotażową i wywiadowczą. Nie możemy przy tej sposobności charakteryzować wszystkich form pracy. Dorzucimy jedynie dwie uwagi. Jeśli chodzi o akcję szkoleniową odbywała się ona na terenach leśnych, gdzie ćwiczone i szkolono wojskowo małe grupy. Akcja szkoleniowa miała głównie dlatego doniosłe znaczenie, że do szeregów organizacyjnych napływało bardzo wiele elementu wojskowo niewyrobionego. Elementy bowiem wyszkolone uszły, zwłaszcza w zimie 1939/40, za granicę, co bardzo ułatwiało sąsiedztwo pogranicza. Dość wielokierunkowy, a nieraz bardzo specjalny charakter przybierała już wtedy akcja dywersyjno-sabotażowa. Na jeden szczegół z tego zakresu zwrócimy tu uwagę. Odpowiednie komórki z grupy Musioła próbowały już wtedy stosować formy sabotażu przy pomocy bakterii. Wyżyskiwano w tym celu osoby, wywiezione na roboty rolne do Reichu. Konkretnym dowodem tego typu sabotażu jest między innymi przewód policyjno-sądowy z r. 1941/42 w stosunku do niektórych Polaków, wywiezionych na roboty rolne do Rzeszy z Zaolzia. Udowodniono im w tym przewodzie przestępstwa sabotażowe tego rodzaju.

Obok prac i zadań ściśle wojskowych szczególną uwagę zwrócono zwłaszcza w tym rejonie na zagadnienie opieki nad spauperyzowanymi Polakami. Wielkie usługi oddało w tej akcji gromadzenia funduszy na opiekę społeczną duchowieństwo. Na akcję tę kładł szczególnie nacisk Musioł, co wynikało z jego wyjątkowej wrażliwości na nędzę ludzką. Swoją drogą, nie wiele spotkałem w życiu ludzi o tak dobrym sercu jak ś. p. Paweł Musioł, który potrafił się dzielić ostatkiem w dosłownym tego słowa znaczeniu.

Na tę wzorowo rozwijającą się robotę, jaką stworzył Musioł w rejonie Cieszyńskiego wraz z Zaolziem, spadły pierwsze bardzo dotkliwe ciosy w drugiej połowie lutego 1941 r. i trwały do końca marca. Odpryski zaś tych aresztowań odczuwał teren przez kilka następnych miesięcy. W toku aresztowań ujęty został również przez Gestapo 3 marca 1941 r. Paweł Musioł. Niejednokrotnie pytano mnie, czy można było uniknąć aresztowania Musioła. W tym momencie można było uniknąć, gdyby nie przesadne poczucie obowiązku Pawła. Gdy w jego otoczeniu zaczęły się aresztowania, proszono go i nalegano, aby usunął się z terenu. Odmówił kategorycznie, twierdząc, że właśnie w tak ciężkim okresie nie może tego zrobić. Zmienił jedynie mieszkanie, ale to przesunęło moment aresztowania zaledwie o kilka dni.

Jedną z najistotniejszych i najpiękniejszych cech Pawła Musioła były jego niezłomna wola i charakter. Nie wydać nikogo, gdy tylko słownie zmuszają człowieka do wynurzeń, nie jest na ogół zbyt wielką sztuką. Dotrzymać jednak tajemnicy, gdy dla jej osiągnięcia stosuje się nie tylko fizyczne tortury, to już jest w skali bohaterstwa. Faktem niezbitym jest, że po Pawle Musiole nikt z jego powodu nie został aresztowany. Swoją postawą w więzieniach wzbudził też Musioł nawet respekt u funkcjonariuszy Gestapo. Nie załamał go dwuletni pobyt w więzieniu. Wytrwał do końca dzięki tej prawdziwej sile moralnej, jaką posiadał i dzięki tej czystej bezinteresowności, z jaką oddawał się każdej wielkiej sprawie. Jak powiada jego spowiednik więzienny, zginął jak prawdziwy bohater. Zginął jak żołnierz, bo też był nawskroś żołnierską naturą.

Alojzy Targ.

Jan Drda

Skrytobójca

Jan Drda należy do najwybitniejszych przedstawicieli współczesnego piśmiennictwa czeskiego. Zamieszczone niżej opowiadanie łączy się tematycznie z powstaniem w Pradze.

Od majowego słońca rozjarzyła się cała ulica.

W miękkim podkładzie brukowej nawierzchni, dwadzieścia metrów za barykadą, leży ciało Helenki. Szczekająca śmierć wyszczerzyła na nią swoje zęby. Trr... tatatatata... A teraz spójrz, jeśli pewnym jesteś, że zniesiesz tę zgrozę. Pięcioletnią główkę rozłupał grzebień kulomiotu. Po sukience już tylko rozpozna ją matka. Bowiem głowa... ach, nie mów lepiej o tym. A przecież ciągnie się tu głęboko bezpieczne dotąd zaplecze, dopiero na dziewiątej, dziesiątej gdzieś barykadzie, daleko ku przodowi utrzymują nasi ogień przeciw Niemcom.

Wilgotna i plastyczna jest ziemia, z której wyrwano kostki. A po dwóch dniach deszczu, co przenikał aż do szpiku kości, znów świeci wspaniale, majowe słońce. Nic nie zdoła utrzymać dzieci w domu. Wybiegną przed dom z łopatką i wiaderkiem, gromadka ich usadowi się na środku ulicy, lepić będą ze zwilgotniałej ziemi bakki. Cisza leży na niebie. Wojna stąd daleko. Słońce wypłasza z dzieci nocne, piwniczne odrętwienie.

Aż tu nagle... ratatata. Dzieci zawyją ze zgrozy, prysną jak kurczęta. Helenka już nie biegnie. A Vlasticze, jej czteroletniej przyjaciółce, w miejsce pulchnej, ślicznej rączki, ukazuje się nagle coś niesamowicie okropnego. Oszołomiona widokiem własnej krwi, z oczyma strasznie rozwartymi, tyle tylko, że dopaść jeszcze potrafi chodnika i pozostanie tam już leżąca na bruku. Rączkę jej, urwaną w samym łokciu, znajdziesz na skraju chodnika. Palce nie wypuściły jeszcze dziecinnej łopatkki.

Mężczyźni runą na ulice. Bezbronni, bo wszystko posłali tam, do przodu, gdzie strzela się na prawdę. Wiedzą dobrze, że ten tam u góry, może strzelać. Niechby tam, dowiem się przynajmniej skąd. Szukają nienawistnymi oczyma po okienkach strychów. Okna nic już ci nie powiedzą. Granaty rozbiły już niemal wszystko wczoraj, szkło od dawna leży zmiecione pod ścianami.

A ten tam — brak im nań wyrazu, siedzi gdzieś z palcem na cynglu, z okien przy otworze. Skoro tylko zechce, dosięgnie każdego. Jak to, więc zostali tu gdzieś jeszcze Niemcy?

Po trzykroć za sobą przeszukali blok od piwnic do strychu. Mysz nawet nie zdołałaby się tu prześlizgnąć. Nikogo, nikogo... a jednak być tu przecie musi. Przypomnijcie sobie! Przypomnijcie! Mężczyźni stoją jak barany nad martwą Helenką.

Strzelcy broń przy oku. Nikogo, nikogo... a przecie jasne, że być tu przecie musi!

Przyznajcie się, towarzysze!

Wówczas jeden z nich, roztrzęsiony już zupełnie zgrozą, wyjąka:

— To ja, towarzysze! Jam człowiek miękki. Być może, że ja... stara, chorą babę zostawiłem tam, na czwartym piętrze... nie miałem wprost serca... pomyślałem, że gdyby ktoś tak moją własną matkę... ale ta z pewnością... gdzieżby tam baba i kulomiot. Ledwie, że się z pierzyn wygrzebała!

— Głupcze! — dziko wrzasnie nań kowal Martinek, — głupcze! — i pięścią zdzieli człowieka po piersi, aż tamten zatoczy się cały. — Rewolweru! Rewolweru! Granatu!

Zadawałają się w końcu kilofem. Trzech, czterech, pięciu ich przebiega ulicę. Wszyscy. Spragnieni są zemsty. Każdy chce być przy tym. Tylko ten ostatni, miękki człowiek, tkwi nadal nad ciałem Helenki. Eka straszliwie.

Drzwi bez wizytówki. Martinek wznosi kilof. Ale kolega chwytą go za rękę. Zadzwonił naprzód raczej! Zabrzączy dzwonek głucho, z oddali, nie z tego jakby świata. A później, po długiej nieskończonej pauzie, w ciszy aż rozżarzonej od oczekania, coś głucho zaszeleści. Człapią po podłodze chodaki. Ktoś jęknął niezrozumiale jak człowiek, którym szarpie naraz ból i wściekłość. Bojaźliwie ukazuje się w drzwiach wąska szpara.

Prerażona, zsiniała, o zmętniałych oczach stoi przed nimi starucha. Na nocnej koszuli nosi brudny szlafrok, który cuchnie pleśnią. Zerkają na mężczyzn wysiłone, kaprawe, pełne psiej wierności oczy:



Rys. A. Rohoziński

— Czego tutaj chcecie? Widzicie jam stara już kobieta...

Stoją zaskoczeni, Diabła tam, nie potomy tu przecie przyszli, aby się z babami tylko brać! I powtórnie gotowi są stąd zawrócić, jak to czynił ich towarzysz, miękki człowiek, powtórnie gotowi są kapitulować przed tym kłębkiem starczej bezsilności. W Martinku tylko nie gaśnie podejrzenie. I wszyscy biorą mu to w duchu za złe, gdy chwyci oto staruchę za ramiona i okręci nią dokoła w złości. Wpada do wnętrza. Spokojna, martwa kuchnia. Zimny piec, Pościel z szarymi poszwami, wygniecione wgłębienie w pierzynach.

— Nikogo tu nie znajdziesz, nikogo...

Rozpaczliwy upór pcha Martinka ku następnym drzwiom. Pokój. Pusty. Martwy wachlarz papierowej palmy, stare jak świat alpejskie widokówki za niedużym lustrem. W ramkach z muszli fotografia austriackiego oficera. Lewą ręką podtrzymuje szablę, podczas gdy prawą wznosi w górę szklanekę. Przedmiot za przedmiotem badają Martinkowe, nie żyjące już nadziei oczy. Aż naraz wlepią się straszliwie w płytę stołu. Koło garnka z kawą leży na talerzu nadgryziona kromka. Szeroka męska szczeka wykroiliła w niej dwa półksiężycy. Tyle tylko. Zółci się masłem. Czerwieni malinową konfiturą. Czerwoną — jak krew.

Dzikim ciosem rozbija Martinek drzwi dwuskrzydłowej szafy. Kilof rzucił precz od siebie, rozkrzyżowanymi rękoma wpija się w gmatwaninę rozpostartych na wieszakach sukien. Rwie staro-

Współczesne malarstwo czeskie

Józef Czapek



Ogień



Dzieci

świeckie łachmany. I oto trzyma naraz coś żywego, stałego, wściekłego. Obaj walą się na podłogę. Przewrócą kilka krzeseł. Martinek jest kowalem. Znać to po nim. W dwudziestej sekundzie klęczy Niemcowi na goryle piersi. Długa nordycka czaszka dudni o deski podłogi. Automat znaleźli w bielźnie, magazynek był w połowie próżny.

Związali go sznurem od bielizny, rozkazali powstać. A ty, stara megiero, marsz także! Starucha rzuci się Martinkowi pod nogi.

— Walter... Walter... Walter... Nyc ne robiła! —

— Schweig, Mutti! — ryknie na nią skrytobójca. Ale w niej rozpełtała się już cała otchłań strachu. Wije się, skowyczy, obejmuje kolana. A później charcząc wyrzuci z siebie słowa straszliwego samooskarżenia.

— Spójrz no tylko, ścierwo! — Pchnie ją Martinek ku oknu.

— Nuże, nachyl no się tylko! Widzisz to dziecko? Takaś to ty matka?

— To ja sama... ja mówić Walter... on musiała strzelacz dżeczy, on zawsze musiała strzelacz dżeczy, on nyc nie robiła, ja sama kazać strzelacz! —

I naraz, Bóg jeden raczy wiedzieć jak, przeważa się przez okienną framugę. Ręce co ją miały uchwycić, zawarły się w próżni. Niczym potworny spadochron rozplaszczyła się na kamiennym bruku. Niemiec spogląda na wyrwane okno. W długiej, wąskiej czaszce zimne jak lód oczy. Zupelnie jakby wypadł jedynie kawał ścierki. Ani mrugnie.

— Pójdź, bydlę! — tną go obelgą jak biczem. I prowadzą go tak aż na środek ulicy, ku martwej Helence. Przed bramą leży stara. Kłębek kości w skórzanym worku. Syn przestąpi jej ciało jak zwalone drzewo. Nie drgnie, nie oglądnie się nawet. Wąską długą czaszkę przechylił do tyłu, brodę wysunął naprzód jak aktor na scenie.

— Na kolana! Ucałuj tę skrawioną ziemię! — ryknie nań Martinek i rzuca go na kolana pośrodku ulicy. Walter usiłuje powstać. — Na kolana! Ucałuj! I tu skrytobójca zdobędzie się jeszcze na ostatni gest... Plunie martwemu dziecku w krwawiącą twarzyczkę.

Wystarczy dwóch minut, aby zmieknął jak ścierwo. Wielkie oszalałe ze strachu zwierzę, które, zakrwawionym pyskiem, jęczało tylko błagalnie o litość. — Zryj ziemię! — krzyczeli, a on żarł posłusznie. Pochłaniał pełnymi łykami czarna, miewską ziemię, połykał ją chciwie. Raz wreszcie mógł nażreć się do syta tej oto czeskiej ziemi, nad którą się zawsze tak poządlawie trząsał.

A potem, już nakarmionego, oddali w ręce partyzantów.

W legitymacji jego widniał napis: doktor medycyny.

Spolszczył Rudolf Janiczek.

Jerzy Lovell

*
*
*

Smutek większy, niż Twoje niebo, Panie,
chyli przed Tobą myśl jak pokonany sztandar —
Słuchaj: ja miłość zmieniłem w bagnet, a bagnet zranił
pierś mego wroga, i śmierć mu zadał.

Słuchaj: ja z trupa zdartem krwawą odzież
by okryć sine ciało mojej żony —
a kiedy matce lzy zamarzały codzień,
Twój krzyż połamałem płomieniem czerwonym.

Odtąd me słowa wielce niespokojne
ogień nieciły pod przyzby kościołów —
bluźnięm Tobie za krew u mych rąk pełnych wojny,
za mękę kulą ugiętego czoła.

Lecz kiedy śmierć była mi już tak bliska,
że tylko głos mnie od Ciebie dzielił,
ktoś mnie zawołał po nazwisku:
komunię przynieśli zmienieni pobratymcy Szeli.

Jan Pierzchała

O dosyt słów

O dosyt słów, o oddech wyprzedzić zmyślenie,
— miarę życia, jak skrzydła podnosząc na wiatr.
Przy progu z kobietami smutek i brzemienność
odmawiać, i ojczenasz, dniom lejącym w twarz.

Maszynom przeciwstawić każde ludzkie słowo
dźwiękami odnowienia zkwitłe w święto drzew.
Poszum trudnej radości nadany jest drzewom,
a nam jest przykazana modlitwa do drzew.

I wolno nam uwierzyć w czasy światła pełne.
Z kopalni wolno dziwadła własnym karkiem nieść.
O dosyt słów, o oddech wyprzedzić zmyślenie,
ogień dano po hutach, czas żniwa i pieśń.

Żywot i dzieło Pawła Musioła

Wspomnienie o działaczu i pisarzu śląskim w czwartą rocznicę stracenia (19. 2. 1943).

Paweł Musioł, stracony przez Niemców za działalność konspiracyjną, był niewątpliwie najwybitniejszym z młodego pokolenia Ślązaków działaczem społecznym i politycznym. Działalność ta przechodzi i przejdzie w niepamięć, natomiast twarde ślady pozostały Musioł po sobie, jako historyk i krytyk literacki oraz organizator życia kulturalnego na Śląsku na przestrzeni lat kilkunastu. Jego działalność naukowo-publicystyczna oraz organizacyjna wyrosła na tle regionalizmu śląskiego, który w tej formie, w jakiej się tu przyjął, zawdzięcza niejednemu Musiołowi, on bowiem był nie tylko jego entuzjastą, lecz także teoretykiem, kierującym się wskazaniem Żeromskiego, a głównie Orkana. Prądy, nurtujące od dawna na Śląsku, on właśnie w czasach nowszych wyzwolił, rozdzielając przygasający już „Znicz” życia narodowego, w sensie, jak się okazuje, dosłownym.

Urodził się Paweł Musioł 30. 12. 1905 w Górnej Lesznej w powiecie cieszyńskim, w najpiękniejszym zakątku Śląska Zielonego. Po ukończeniu gimnazjum cieszyńskiego (1926) studiował polonistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, gdzie też rozpoczyna swoją działalność na terenie organizacji akademickich, głównie w stowarzyszeniu akademików ze Śląska Cieszyńskiego, w t. zw. „Zniczu”, założonym w r. 1894. Nadzwyczaj ruchliwy i ofiarny, wysuwa się dość wcześnie na czoło tego stowarzyszenia, reorganizując je i ożywiając gruntownie. Do samopomocy koleżeńskiej, stanowiącej główny cel „Znicza”, dołączył nowe cele i zadania o charakterze oświatowym, społecznym i naukowym. Dzięki osobistemu zaletom i wytrwałej pracy wprowadził pomysły swoje w życie, wysuwając „Znicz” wśród akademickich zresztą prowincjonalnych na pierwsze miejsce. Okres ten, upamiętniony zresztą okazała „Księga o Śląsku”, wydana na pamięć 35-lecia „Znicza” (Cieszyn 1929), to okres w historii tego stowarzyszenia najpiękniejszy. Towarzyszącemu Musiołowi w tych jego pracach i usiłowaniu byli Alojzy Targ, redaktor wspomnianej „Księgi”, R. Ramsza, ówczesny sekretarz „Znicza”, W. Jaworski i inni. Praca ta, której patronowali dwaj profesorowie U. J., wielcy przyjaciele Śląska, mianowicie R. Dybowski i L. Piotrowicz, spotkała się także na Śląsku z przychylnym oddźwiękiem wśród „starych strzech Znicza”. Zresztą działalność „Znicza” przeniosła się tu w dużej mierze, tu właśnie realizując wysunięte przez Musioła potrzeby pracy społecznej, oświatowej i naukowej. On też był główną tych poczyną sprężyną.

Dużo w tym wszystkim było wigoru młodzieńczego i szumu, w wyniku jednak ogólnym „Znicz” z okresu Musioła okazał się czemś co nie przemienię bez śladu i echa. Ożywienie i pogłębienie życia umysłowego na Śląsku około r. 1930 wywodzi się w dużej mierze ze „Znicza”. Szczególnie ulubioną formą były t. zw. „Żywe dzienniki”, urządzane zarówno w środowiskach akademickich jak również i na Śląsku. Program pracy w zakresie nauki, literatury i sztuki, oparty o przesłanki regionalizmu, szerzonego przez Żeromskiego i Orkana, przyjął się i dał w drugiej połowie okresu międzywojennego na Śląsku piękne wyniki.

Działalność organizacyjno-społeczna nie pochłonęła jednak Musioła całkowicie. Tyle miał w sobie życia i temperamentu, że nie zaniebując studiów, kontynuując rozpoczętą na ławie gimnazjalnej twórczość literacką. Dorobek gimnazjalny (powieść „Zatrącić” ogłoszona w „Dzienniku Cieszyńskim” w roku 1924 oraz dramat „Stracony pierścien”) wzbogaca szeregiem nowel i opowiadań, pisanych pod wpływem Orkana. Ta sama w nich pasja reformatorska i to samo ukończenie ziemi, przeniesione w Podbeskidzie Cieszyńskie, ta sama miłość do ludzi

wiejskich, wśród których wyrósł jako gazdowski syn, zamiłowany w śląszczyźnie po uszy. Opowiadaniem pt. „Świt” (Księga o Śląsku, Cieszyn 1929, str. 248—262) zamknął swoją twórczość literacką, by wrócić do niej w czasie wojny. W latach akademickich wybija się też jako publicysta i naukowiec. W publicystyce swej ówczesnej porusza główne sprawy z życia akademickiego (O życiu akademickim, Znamiona czasu a młodzież akademicka) oraz sprawy śląskie, szczególniejszą troską otaczając śląski ruch umysłowy, głównie literacki (Do nowego Jutra, Śląszczyzna w literaturze bieżącej, Działalność wydawnicza Muzeum Śląskiego w Katowicach). Po pracy magisterskiej (Heroizm w twórczości Żeromskiego) przerzuca się na lat kilkanaście do dziejów piśmiennictwa śląskiego. Pierwszą pracą na ten temat był szkic historyczno-krytyczny o Janie Kubiszu (Księga o Śląsku, str. 197—207). Twórczość tego poety cenili Musioł bardzo. Warto może na tym miejscu przypomnieć, że na cmentarzu gnojnickim nad otwartą mogiłą zmarłego w dniu 25. 3. 1929 autora „Z niwy śląskiej” przemawiał także Musioł, nie jako przedstawiciel młodzieży akademickiej, a raczej jako przedstawiciel odradzającej się literatury śląskiej, której Jan Kubisz na tych rubieżach był ojcem duchowym. Kubisz będzie Musiołowi wzorem, kiedy ten zabierze się do pisania ostatecznej pracy już w czasie wojny.

Po ukończeniu studiów (około 1930) wraca Musioł na Śląsk i obejmuje obowiązki nauczyciela w szkolnictwie średnim; pracuje w Chorzowie i w Tarnowskich Górach. Pracę tę przerywa mu służba wojskowa, którą odbywa w szkole podchorążych w Cieszynie. Do szkoły już nie wraca. W listopadzie 1933 r. zamianowano go inspektorem Ochotniczych Drużyn Roboczych. Pracując w O. D. R. do końca 1936 r., redagował m. in. ich organ pt. „Junak” (po nim przejął redakcję tego pisma Jan Baranowicz). Organizacji tej poświęcił także publikację, wydaną przez Instytut Śląski (Ochotnicze Drużyny Robocze, Katowice, 1937, str. 61). Zajęcia służbowe nie przeszkadzały mu wcale w szeroko zakrojonej pracy organizacyjno-społecznej, której oddał się cały już w latach akademickich. W r. 1935 powołał do życia „Kuźnicę” (najpierw miesięcznik, od r. 1937 dwa razy w miesiącu, w całości do 1. 9. 1939 wyszło 86 numerów), pismo, poświęcone „zagadnieniom współczesności i Śląska”, poprzedzone dwukrotnie nieudalnymi próbami z „Nową Polską”. Pismo to staje się „wolną trybuną” myśli niezależnych, nowych, trochę może początkowo chaotycznych, zmierzających jednak wytrwale do wytkniętego celu. Sprawy społeczne, polityczne, i literackie, przedstawiane przez ludzi młodych, nie zapatrzonych w autorytety, siedzące w ówczesnym urzędzie wojewódzkim czy też gdzieindziej, śmiała często krytyka, w miarę zjadliwa lub sprawiedliwa, uczyniły z „Kuźnicy” pismo bojowe. Ówczesny ruch literacki i artystyczny na Śląsku znalazł w jej łamach również poważne oparcie, a tacy pisarze śląscy, jak Szewczyk i Baranowicz przez Musioła niejako wprowadzeni zostali do literatury. Z „Kuźnicy” wyłonila się „Fantana”, literackie pismo śląskie z lat 1938—1939, pierwsze i wówczas jedyne.

Na skutek negatywnego ustosunkowania się do polityki sanacyjnej naraził się Musioł władzom ówczesnym i stanowisko swoje w szkolnictwie utracił. Pracy jednak wszczętej „Kuźnicą” nie przerwał, lecz oddał się jej teraz całym sercem, a mając więcej wolnego czasu, zabrał się z powrotem do zaczętych już na uniwersytecie studiów nad dziejami piśmiennictwa śląskiego. Za interesowania i dociekania w tym kierunku nie opuściły go zresztą nigdy. W podchorążówce będąc, pisał m. in. rozprawkę o Lompie, artykuł o „Tradycjach legionowych na Śląsku” i in. Obraz

literatury śląskiej, zaczęty szkicem o Kubiszu wzbogaca się co pewien czas o szkice inne, z których wylania się powoli zarys pewnej całości o takich tytułach (nie według kolejności powstania, lecz według chronologii treściowej): Pisarze polscy na dawnym G. Śląsku na przestrzeni XVI i XVII w. (Fantana, 1939, 9—10); Literatura śląsko-polska XVII w. (Zaranie Śląskie 1930, 122—131); Literatura śląsko-polska XVIII w. (Zaranie Śląskie 1932, 3—16); Polskie życie duchowe Śląska przed Wiosną Narodów (Kalendarz Śląski Prawa Ludu 1931, 42—48) Odrodzenie narodowe Śląska (Zaranie Śląskie 1930, 62—70); Charakter literatury odrodzenia narodowego na Śląsku (Zaranie Śląskie 1930, 183—186); Literatura polska na Śląsku po r. 1848 (Zaranie Śląskie 1938, 103—111); Józef Lompa w świetle swych listów do J. I. Kraszewskiego (Zaranie Śląskie 1932, 65—74); Jan Kubisz (Księga o Śląsku, j. w.); Emanuel Imiela, współczesny poeta śląski (Zaranie Śląskie 1932, 203—208); Współczesny ruch literacki na Śląsku (Zaranie Śląskie 1937, 115—119 oraz podobne ujęcia w innych wyd.); Rzut oka na literaturę śląsko-polską (Pamiętnik Warszawski, wrzesień 1930, str. 58—72).

Dorobek ten, przedstawiający pewną całość, jakkolwiek roztrzęsioną po czasopismach, nie zadowolili jednak Musioła. „Bezrobocie” z lat 1937—1939 wykorzystał w ten sposób, że zabrał się do bardziej gruntownych, niż dotychczasowych, studiów nad piśmiennictwem śląskim. Prace swoje dawniejsze przerobił, uzupełnił i opracował brakujące rozdziały (wieki średnie, wiek XVI). Pamiętam jego zachwyty nad Estreicherem, którego studiował w Śląskiej Bibliotece Publicznej w Katowicach... Praca ta przyniosła mu w r. 1939 tytuł doktora filozofii.

W publicystyce przedwojennej Musioła, wybitnie antyniemieckiej (artykuły „Kuźnicy”) na jeden artykuł szczególniejszą wartość zwrócić uwagę: „Polskość Dolnego Śląska” (Prosto z Mostu 246). Artykuł ten, ogłoszony na parę tygodni przed wybuchem wojny, to zablakany i przedczesny na naszym ówczesnym tle zwiaśtan publicystyki, jaka wybujała po wojnie. Niestety w tej powojennej publicystyce Musioła zabrakło...

Jako oficer rezerwy bierze udział w kampanii wrześniowej, po czym przedziera się w strony rodzinne, gdzie rychło zaczyna się krzątać około utworzenia konspiracyjnych sił zbrojnych. Jako szef odcinka cieszyńskiego i zaolziańskiego (zob.: A. Targ, Śląsk w czasie okupacji, str. 52), tkwi dość długo w konspiracji. Już wiosną 1940 r. łowi za nim gestapo, lecz wtedy wymyka się szczęśliwie z matni, znajdując schronienie w Beskidach (Brenna). W rok później jednak (7. 3. 1941) zostaje aresztowany w Cieszynie. Do grudnia tego roku przebywa w więzieniu cieszyńskim, następnie w Zwickau, w Bytomiu i wreszcie w Katowicach, gdzie widział go m. in. towarzysz jego w pracy przedwojennej, W. Szewczyk „Widziałem Pawła” — pisał później Szewczyk do żony Musioła — „prawie codziennie przez okno. Również i po rozprawie, kiedy nosił kajdany na rękach w czasie przechadzki, był ten sam. Kiedy ludzie idący przed nim i za nim opuszczali głowy, ledwo włączając nogami, on szedł prosto, głowę niósł wysoko i czuło się, że panował nad czasem. Nie było w nim ani chwili słabości... Wielkie miał serce ten góral...” W Katowicach, w listopadzie 1942 r., odbyła się rozprawa, przeciwko Musiołowi i towarzyszącemu, oskarżonym o „Hochverrat”. Skazano go na karę śmierci. Wyrok wykonano w Katowicach 19. 2. 1943 przez ścięcie.

Dziwne i niezrozumiałe milczenie, otaczające go przepiękną postacią działacza śląskiego, przerwał niedawno Alojzy Targ, przyjaciel Musioła z lat gimnazjalnych, akademickich, z okresu „Kuźnicy” i konspiracji wojennej, dedykując swą książkę „Śląsk w czasie okupacji” Dr. Pawłowi Musiołowi bohaterkiemu żołnierzowi i dowódcy w wojsku podziemnym na Śląsku, ściętemu 19. 2. 1943 r. w Katowicach...

Ludwik Brożek.

Nauka szczecińska

Szczecin, w lutym 1947.

AKADEMIA HANDLOWA

Szczecin, jak wiadomo, to przede wszystkim port! Port zaś to rozwój życia handlowego i przemysłowego. Nic więc dziwnego, że miasto nasze posiada charakter wybitnie gospodarczy, w którym na plan pierwszy wysunęła się od dawna sprawa szkolnictwa zawodowego, szczególnie zaś wyższych uczelni o typie handlowym i technicznym, a nie humanistycznym. W szybszym więc tempie, niż to wielu oczekiwało, uczelnie takie powstały i niewątpliwie dalej będą powstawały. Gdyby nawet ktoś nie wiedział, że takie uczelnie już istnieją, pozna to łatwo po barwnych czapkach akademickich, które tak miło uderzają wzrok o każdej porze dnia.

Jak wiadomo „najstarszą”, jeżeli można użyć tego słowa, wyższą uczelnią jest Akademia Handlowa. Kiedy po raz pierwszy na wiosnę 1946 r. zaczęto o jej założeniu mówić, wielu mieszkańców wyrażało nie tylko wątpliwości, ale co tu dużo mówić w ogóle nie wierzyło w możliwość jej powstania nawet za kilka lat. Tymczasem rozmach gospodarzy Szczecina i inicjatywa jego mieszkańców były większe niż to się niejednemu z postronnych obserwatorów wydawało. Trzeba jednak przyznać, że wątpliwości, wyrażone w wiosnę ubiegłego roku, miały swoje głębokie przyczyny. Wyższa uczelnia bowiem, to przede wszystkim sprawa profesorów, których brak wydawał się nie do przewyżyczenia. Przepuszczano też, że zgłoszeń ze strony uczniów nie będzie dużo. Ku ogromnemu jednak zdumieniu zgłoszeń tych napłynęło ponad dwa tysiące i, co ciekawsze nie tylko ze Szczecina, ale ze wszystkich stron Polski. Było nawet kilka zgłoszeń z kół polskich w Anglii. Ta imponująca liczba przekreśliła wszelkie wątpliwości. Rozwiały się też szybko obawy co do braku profesorów. Dzięki usilnym staraniom, zarówno społeczeństwa, jak i samej młodzieży, Akademia Handlowa w Poznaniu oświadczyła gotowość otwarcia filii Akademii w Szczecinie z tym, że w r. 1946 uruchomi się naturalnie tylko pierwszy rok studiów. Otwarcie Akademii napotykało oczywiście nawet po przewyżyczeniu pierwszych trudności, na wiele kłopotów i trosk. Nie było przecież ani odpowiedniego kompleksu budynków na wykłady, ani domów dla młodzieży, czy po prostu krzesła dla słuchaczy.

A jednak wszystko zostało przewyżczone i w październiku zaczęły się już normalne wykłady. Tego rodzaju rozmach pracy, tworzenie w najcięższych warunkach dzieł wielkich, staje się już stylem naszego pochodzącego na Ziemię Zachodnią. Szczególną zaś satysfakcją budzi fakt, że Akademia Handlowa powstała tam, gdzie Niemcy przez długie lata swego panowania nie byli w stanie rozbudować wyższego szkolnictwa zawodowego.

SZKOŁA INŻYNIERSKA

Akademia Handlowa jednak, to tylko jeden z dowodów naszego rozmachu kulturalnego na odcinku naukowym. Wkrótce bowiem, bo już w lecie ubiegłego roku, powstał drugi projekt stworzenia nowej wyższej uczelni. Tym razem, zgodnie z charakterem gospodarczym naszego miasta, uczelni o typie technicznym, mianowicie Szkoły Inżynierskiej. I znowu byliśmy świadkami niezwykłych faktów. Po pół roku uczelnia ta stała się już faktem dokonany. Do inicjatywy kierowniczych czynników miejskich i wojewódzkich dołączył się jeszcze entuzjastą młodzieży, która wszczęła szeroką propagandę za otwarceniem takiej placówki. Wysiłki te zostały już w grudniu ubiegłego roku uwieńczone powodzeniem.

W dniu 2 grudnia rozpoczęły się wykłady na kursie wstępnym Szkoły Inżynierskiej. W dniu 3 lutego rozpoczęły się egzaminy wstępne na pierwsze semestry wydziału mechanicznego, elektrycznego i oddziału lądowo-wodnego. Ogółem ilość uczniów Szko-

ły Inżynierskiej przekroczyła cyfrę 250.

Uczelnia w pierwszym okresie swego istnienia liczyć będzie 18 profesorów i 4 asystentów.

Dziś Szczecin może się więc pochwycić dwiema wyższymi uczelniami o typie ekonomicznym i technicznym. Do tego dochodzi jeszcze Szkoła Morska, o której dyskutuje się coraz więcej i przygotowuje warunki do jak najszybszego jej zrealizowania.

Ten rozwój wyższego szkolnictwa zawodowego, jak i innych instytucji naukowych w Szczecinie, nie jest dziełem przypadku. Zasadnicze bowiem zniesienie granicy politycznej między Wisłą a Odrą jest czynnikiem, który wpływa i musi wpłynąć na oblicze Szczecina, jako miasta portowo-handlowo-przemysłowego. Młodzież, która wyróżnia w Szczecinie i przesiąknęła jego charakterem będzie szukała rozwiązania swego programu życiowego na podstawie gospodarczego życia swego miasta. Ze Szczecina wyjdzie więc kupiec, ekonomista, marynarz, budowniczy okrętowy, administrator handlowy, wreszcie technik i inżynier.

W ostatnich tygodniach powstała na terenie Muzeum Miejskiego nowa placówka, która zasługuje na szczególną uwagę. Jest nią Dział Prehistorii w Muzeum Miejskim.

Zorganizowania tego działu podjął się archeolog mgr. Wieczorski, uczestnik prac wykopaliskowych w Biskupinie, zaproszony specjalnie przez Zarząd Miejski Szczecina. Uruchomienie tej placówki jest dla tego ważne, że dawnej dział prehistorii stanowił najwęższy odcinek pracy Muzeum Szczecińskiego. Obecnie zaś jego zabytki znajdują się wciąż jeszcze rozproszone, względnie poukrywane po różnych miejscach w Szczecinie. Nowa placówka odda wielkie usługi polskiej nauce i szkole. Będzie ona składnicą materiałów i dokumentów dla wielu placówek naukowych nie tylko w Szczecinie, ale w całej Polsce, oraz będzie służyła celom dydaktycznym dla kształcącej się młodzieży. Przy sposobności warto zaznaczyć, że zabytki prehistoryczne wyjęte są ustawowo spod własności prywatnej i stanowią własność państwa. Ci więc, w których posiadaniu znajdują się tego rodzaju obiekty, powinni zwrócić je Muzeum Miejskiemu.

TOWARZYSTWO MUZYCZNE I GEOGRAFICZNE

Uruchomienie Działu Prehistorii nie jest jednak ostatnim wydarzeniem w historii rozwoju placówek naukowych. Kilka dni temu powstało na terenie Szczecina Towarzystwo Muzyczne, które określiło sobie piękny plan najszerszego spopularyzowania muzyki, podniesienie kultury muzycznej szerokich warstw społeczeństwa oraz zorganizowanie całej sieci chórów zawodowych i amatorskich. Naukową placówką jest też Towarzystwo Geograficzne, które powstało kilka tygodni temu i rozpoczęło już swoją działalność.

WOLNE STUDIUM

MALARSTWA

Z inicjatywy miejscowego Związku Artystów Plastyków powstało w Szczecinie Wolne Studium Sztuk Plastycznych z siedzibą w Muzeum Miejskim. Obecnie odbywają się egzaminy wstępne, do których przystąpiło 31 kandydatów.

Studium w pierwszym okresie swego istnienia będzie miało charakter ogólno-artystyczny. Rada Pedagogiczna Studium opracuje w najbliższym czasie program specjalizacji w pewnych dziedzinach sztuk plastycznych, który przedstawiony zostanie do zatwierdzenia Ministerstwu Kultury i Sztuki. Przytoczone przykłady są dowodem, że za życiem gospodarczym podąża nauka. Budzi to nadzieję, że życie naukowe Szczecina wejdzie na nowe tory.

Stanisław Telega

W „Perspektywie Odry“ w numerze z dnia 26. I. br. cennego tygodnika „Odra“ znalazło wyraz zaniepokojenie z powodu wieści prasowej, jakoby na Radzie Naukowej dla Ziemi Odzyskanych poddano w wątpliwość patriotyzm Opolan.

Domyślam się, że uwagę „Perspektywy Odry“ zaalarmowało zdanie z artykułu Jana Brudzewskiego: „Nauka dla Ziemi Odzyskanych“ w „Tygodniku Powszechnym“. Jest to winą Redakcji „Tygodnika Powszechnego“, że sprawozdanie z dyskusji nad referatem prof. Kłapkowskiemu tak nieudolnie skróciła, czy zcenzurowała, że nie tylko zginął w tym sens dyskusji, ale wyszło coś wręcz przeciwnego w zdaniu: „Dr. Grabski m. n. wskaża na trudności Opolan... Podano wątpliwości ich wypróbowaną polskość“.

Tymczasem przepisują dla użytku Pana Redaktora pełny tekst tej części artykułu Jana Brudzewskiego, który Redakcja „Tygodnika Powszechnego“ samowolnie skróciła czy ocenzurowała...

„Dr. W. J. Grabski podniósł znaczenie więzi wspólnej obrony i zdobyczy, która już działa na Ziemiach Odzyskanych. Fakt np., gdy żołnierz Dywizji Kosciuszki broni przed maruderami ludności tubylczej więcej niż raz znaczący, niż stopy broszur propagandowych... To przykłąd więzi wspólnej obrony. Oby Bóg oszczędził nam więzi obrony zbrojnej polskich Ziemi Odzyskanych, choć taka obrona, więź braterstwa broni, cement krwi, jest bezcenny. Więź wspólnej zdobyczy tworzy się wokół każdego nowego cmentarza i parafii, domu ludowego, kina, świątynicy, a przede wszystkim w kompleksie awansu społecznego i w walce ekonomicznej o zachowanie dobrodziejstw reform społecznych i osiągnięć odbudowy, zdobytych w terenie.“

Te więzi wspólnej obrony i zdobyczy mogą być pozytywne i negatywne. Niejedną tęga głowa mozoli się dziś w Europie nad stworzeniem takich więzów, które z jednej strony pozytywne, mogą być w przyszłości negatywnymi na terenie skupiających Niemiec, tworząc zarzewie długoletnich tarć, uniemożliwiających zjednoczenie zaborczych Rzeszy...

Dr. Grabski ostrzega przed bezkrytycznym stosowaniem teorii naukowych do życia, które na Ziemiach Odzyskanych rozwija się w tak bogatym i różnorodnym aspekcie, że bez wątpienia dostarczy socjologii materiałów i doświadczeń do sformułowania nowych prawd. Jako przykład podaje kolizję życia z wiarą narodową w Opolszczyźnie. Polacy Opolanie znaleźli się oto w tragicznej rozterce, gdy to, co stanowiło ich najistotniejszą więź, wyodrębniającą ich i uodporniającą na choroby niemczyzny, faszyzmu i ateizmu, ich polskość i religijność, nagle przestało być nie tylko przesładowane, ale wręcz nieuznawane przez sąsiadów-osiedleńców, a często i przez władzę. Obok tego ich instynkt praworządności zostaje jednocześnie wstrząśnięty przez rewolucyjny charakter praw i obyczajów nowej Polski, co negatywnie nastraja do więzi państwowej“.

Tyle było w artykule Brudzewskiego, skróconym do jednego, nic nie mówiącego, a raczej źle mówiącego zdania w „Tygodniku Powszechnym“. W rzeczywistości w dyskusji było wiele więcej, było alarmowanie niedołą Opolan i nierozumieniem przez władzę i osiedleńców ich patriotyzmu i bezcennych cnót obywatelskich.

Rada Naukowa podzielała moje opinie i nikt nie śmiał nawet na Radzie Naukowej kwestionować polskość Opolan. To „Tygodnik Powszechny“, przez bezceremonialny stosunek do sprawozdania, urodził taki lapsus. Uczynił to zresztą, na pewno, nieświadomie. W. J. Grabski.

Warszawskie przedstawienie »Dwóch teatrów«

Mamy w Warszawie dwa teatry: Państwowy Teatr Polski i Miejskie Teatry Dramatyczne. Państwowy Teatr Polski wystawił 20 grudnia „Szkolę Obmowy“ — komedię Sheridana w przeróbce Wojciecha Bogusławskiego. W przeciwieństwie do „Penelopy“ — dekoracyjnie i kostiumowo — wspaniale opracowana przez Karola Frycza. Te same co i tam przydziałowe materiały, ale jakże szlachetne w barwach i liniach. Stylowe wnętrza wypieszczone do ostatniego szczegółu.

Na tle pięknych dekoracji odbywa się akcja komedii, która mogła być ciekawa w Anglii, gdzie figury sztuki były portretami popularnie znanych osób, mogła być ciekawą i bawić widzów czasów Stanisławowskich, ale dziś nudzi i narzuca pytanie: po co to wystawiono? Chyba dla dekoracji, bo nie dla gry aktorskiej, która pozostawia wiele do życzenia. Z wielkiej ilości figur przylegających do sceny zostawia inteligentnie i z wdziękiem odtworzona przez Olę Leszczyńską postać Wydrzyńskiego i lichwiarza Procentowicza w ujęciu Aleksandra Bogusławskiego. Inne figury: Dominiak denerwuje już swym zawsze jednakowym ujmowaniem ról, które niezmiennie wygłasza krzykząc; Gliński, Kalinowski — odtwarzając postacie podobne do tych, jakie kreowali w komedii z ubiegłego sezonu „Majątek albo Imię“ — grali poprawnie, ale tak samo. Andryczówna — psychologicznie źle zbudowaną rolę — grała bez przekonania, ale też i bez wdzięku.

Sama sztuka posiada nudne długi, których możnaby, myśląc, uniknąć, gdyby nie podchodząc z takim pietysmem do utworu Ojca Sceny Polskiej, poprawić jego przeróbkę, ściągając dwa pierwsze akty w jeden.

W sumie — jak powiedziałem — nie wiem, mimo całej życzliwości do poczyniń Teatru Polskiego, po co reprezentacyjna scena stolicy wystawiła tę komedię! Jeszcze jedna pomyłka repertuarowa, nie dopuszczalna w okresie wielkiego głodu teatru u szerokiej publiczności, żadnej repertuaru żywego i aktualnego.

Poza tym gra się „Penelope“ L. H. Morstina, od czasu do czasu „Majątek albo Imię“ — Korzeniowskiego i bardzo rzadko (przy prawie pustej widowni) „Papugę“ — Korcelliego.

Miejskie Teatry Dramatyczne, pracujące w trudnych bardzo warunkach lokalowych, zapowiedziały sezon obfitujący w wielkie sztuki i wielkich autorów. Aż podziw bierze człowieka, bo gdzie oni to wystawią, no i kiedy? Z zapowiedzianego repertuaru pokazano już „Wesele“ Wyspiańskiego, „Damy i Huzary“ Fredry, „Szkarłatne róże“, „Uczeń Diabła“ i „Dwa Teatry“.

Mimo wielkiego krzyku potępienia, „Wesele“ nie było tak źle, jak pisano. Pewnie, że w Teatrze Polskim postarano się o lepsze wystawienie dzieła Wyspiańskiego, no... ale dlaczego nie wystawiono? Nie na miejscu są biadania dyr. Szyfmana, że został uprzedzony przez Teatry Miejskie, bo w jakim świetle stawia gospodarce Ministerstwa Kultury i Sztuki, koordynującego przecie z urzędu politykę repertuarową w Polsce. Jeżeli Teatr Polski zgłosił repertuar na sezon 1946/47, to dlaczego Ministerstwo pozwoliło grać „Wesele“ Teatrom Miejskim? Taka sama sprawa jest z „Dwoma Teatrami“ Szaniawskiego, która to sztuka miała być grana na jubileusz Wojciecha Brydzińskiego, z jubilatą w roli głównej, a tymczasem Teatry Miejskie są już po premierze. Cała ta sytuacja wygląda na to, że Teatry Miejskie podśledzą Szyfmana, a że nie mają takich skrupułów artystycznych jak dyrekcja Teatru Polskiego i pracują o wiele szybciej — wydzierają mu co lepsze kąski z literatury dramatycznej.

Bo „Dwa Teatry“ — to nie tylko najlepsza sztuka Szaniawskiego, ale dzieło literackie, którego wartości nie kończą się na świetnym dialogu, pięknych rolach i aktualności tematu. To dzieło o głębokim nurcie myśli filozoficznej, podane w formie dźwięczącej najpiękniejszą poezją. Dobrze, że stolica ujrzała dzieło Szaniawskiego. „Dwa Teatry“

to sztuka o nieprzemijających wartościach ogólnoludzkich, ale przede wszystkim sztuka o Warszawie.

...Wyrasta ku górze miasto najdroższe, miasto ukochane, a ponad dachami jeszcze wyżej wyrastają wieże coraz smuklejsze, coraz doskonalsze, aż zatrzymane w najwyższej ekstazie, patrzeć będą znów długie lata w niebo, chwytając wieczny niepokój piorunów i wielki spokój cichych, młecznych dróg.“

To wizja nowej, szczęśliwej, lepszej Warszawy, tak ciężko dotkniętej okropnościami niedawnej wojny. Czy tylko Warszawy?

— Nie! — Powiedziałem, że „Dwa Teatry“ mają wartości ogólnoludzkie. Wizja Przyszłości. Autor wierzy, że tragiczne doświadczenia wojenne nie będą zmarnowane i ogromna cena zburzonych miast, wylanej krwi, zniszczonych istnień ludzkich, zmieni człowieka, uszlachetni i pozwoli mu odbudować świat z wiarą w lepszą, jaśniejszą przyszłość.

Dyrektor teatru „Małe Zwierciadło“, w którym grywano tylko sztuki realistyczne, trzeźwe, wyrachowane, pod wpływem przeżyć wojennych zmieniła się i staje do pracy na umiłowanej placówce jako człowiek, który w nowej rzeczywistości potrafi już połączyć poezję z realizmem, marzenie z rzeczywistością.

Piszę: „zmienia się“, co autor pokazał w skrócie scenicznym w trzecim akcie i tu — przechodząc już do przedstawienia w Miejskich Teatrach Dramatycznych — nie mogą zgodzić się z koncepcją Kochanowicza (reżysera i odtwórcy postaci Dyrektora), sugerującego widza, że przemiana ta odbywa się pod wpływem widziadeł, jak marzeń sennych — a więc bez udziału świadomości — gdy tymczasem wydaje mi się, że Dyrektor zmienia swój pogląd na rzeczy zupełnie świadomie i widzi się tylko symbolem jego przemian myślowych.

Tak samo nie wyraźnie podana jest zasadnicza myśl sztuki — każde zdarzenie, każda sprawa ma różne aspekty i o tym winno się pamiętać koniecznie, jeśli chce się czynić coś z prawdziwym po-

żytkiem. Sztuka Szaniawskiego nie jest apologią romantyzmu, jak rozumie to wielu widzów, do których nie dotarła filozofia „Dwu Teatrów“, podawana przez autora bardzo dyskretnie i w lapidarnych skrótach.

Czy nie stoi już prawie na granicy kalamburu takie powiedzenie Dyrektora Teatru Snów, określałającego świat realny: „...gro-mada to wielka siła, choćmy na jednego“. Jest w tym zawarta pochwała zorganizowanej społeczności i krytyka jakże często schodzącej na manowce działalności.

Sztuki Szaniawskiego są dla przeciętnego widza trudne i tym trudniejsza trafna inscenizacja. Tu nie wystarczy nawet świetny reżyser. Do takiego przedstawienia trzeba świetnych aktorów, którzy będą rozumieć i czuć myśl autora. Tu nie ma ról pierwszo i drugo-planowych. Tu każda postać coś wyraża, coś reprezentuje. Pozornie luźno związane epizody tworzą całość tak jasną i konsekwentną, tak przejrzystą w konstrukcji, że nic dodać ani ująć nie wolno.

Nie wydaje mi się, żeby Szaniawski wyrzekał się realizmu. On stoi mocno na ziemi, ale radzi pamiętać o tych elementach duszy ludzkiej, bez których człowiek nie byłby Człowiekiem.

Błędem więc reżyserii i niedociągnięciem aktorów należy sobie tłumaczyć nieporozumienie widza z autorem.

Inszenizacyjnie najprzyjemniej wypadł akt trzeci, w którym najmocniej działał urok słowa Szaniawskiego. Dyskretna, pozbawiona patosu (w Warszawie nie potrzebne) wizja Powstania, wywarła wielkie wrażenie.

Jeszcze raz dało się stwierdzić, że prawdziwa sztuka wymaga jak najprostszego środka wyrazu. Poważnie się też zastanawiałem czy rzeczywiście „Dwa Teatry“ wiele straciły na tym, że nie zostały wystawione w Teatrze Polskim. Wydaje mi się, że nie wiele, tym bardziej iż dyrektor Szyfman nie prędko, zdaje się, ma zamiar przeprowadzić rozmowę z Dyrektorem Teatru Snów.

Zbigniew Pejot.

Życie teatralne w Olsztynie

ZA DUŻO ZAPOLSKIEJ

Teatr Miejski im. Jaracza w Olsztynie wystawił już w ciągu rocznego swego istnienia trzy sztuki Zapolskiej, a jeśli dodamy do tego gościnny występ Cwiklińskiej z „Skizem“, to zdmy sobie sprawę, że mimo wszystko jest to trochę za wiele jak na jeden rok. Wystawienie „Ich czworo“ Zapolskiej w Olsztynie w Teatrze im. Jaracza było właśnie ową czwartą z kolei sztuką tej autorki. Konflikty małżeńskie wynikłe na skutek lekkomyślności różnego charakteru kobiet i kobiecej będadych żonami, budzić muszą u widza i miłośnika teatru niewątpliwie przesynt i... znużenie. Pełne finezji a jednocześnie śmiało rysowane zagadnienia i konflikty życiowe przez Zapolską — dziś już mogą budzić zastrzeżenia różnego rodzaju.

KOMEDIA I — KOMEDIA

Inny charakter miało wystawienie sztuki Al. Fredry p. t.: „Damy i Huzary“, gdzie wykonawcy sztuki uporali się z błyskotliwą formą dialogu Fredry. Poza małymi zgrzytami wynikłymi na skutek deklamowania Fredry, w pewnych partiach bez wewnętrznego przeżycia — sztuką zagrana i wystawiona została dobrze. Całość robiła dobre wrażenie, które potęgowała sprawną reżyseria Bogusławskiego oraz ładne dekoracje prof. Jarockiego. Wynik przeto ogólny wystawienia tej sztuki należy uznać za pozytywny i jest to niewątpliwie poważne osiągnięcie teatru im. Jaracza pod nowym zarządem.

Trzecią jest sztuka Niewiarowicza p. t. „Dlaczego zaraz tragedia“? Fabuła tej sztuki jest banalna, nie wnosi nam nic nowego i pozytywnego. Jest to sztuka typowa dla twórczości Zapolskiej tylko, że „dopasowana do czasów nam współczes-

nych. Autor w sztuce tej poza tym nie każe widzowi myśleć — widze zaś zadowolony z tego łąki każde słowo pilnie z sceny i trzyma ręce gotowe do oklasków przy każdym dowcipniejszym czy pikantniejszym dialogu czy scenie. Dlatego też czekamy, co nowego szykuje nam Teatr Miejski im. Jaracza na przyszłość. Gdyby wystawiono coś analogicznego — osiągnięcie pewnego poziomu przez wystawienie sztuki Fredry byłoby znowu zaprzepaszczone. Przecież chyba najlepsza część sezonu — to chwila obecna i wystawienie repertuaru poważnego i wartościowego z końcem n. p. kwietnia nie ma sensu. Od tego okresu publiczność olsztyńska spędza wieczory w kawiarniach nad jeziorem względnie pływając pod żaglem.

KŁOPOTY Z TEATREM MŁODYCH

Natomiast Teatr Młodych im. M. Kajki w Olsztynie po sztuce p. t. „Stefek“ Duvala wystąpił z rewią p. t.: „Noworoczny Przekładaniec“, która cieszyła się dużą popularnością. Jak się dowiadujemy, teatr, ten w pełnym składzie obiecał cały teren województwa, wystawiając we wszystkich miastach powiatowych ten repertuar — naturalnie tam, gdzie istniały odpowiednie warunki lokalowe. Jakkolwiek imprezę tę należy uznać za godną poparcia i świadczy ona o zrozumieniu potrzeby krzewienia kultury teatralnej na ziemiach warmijsko-mazurskich, mamy poważne zastrzeżenia co do samego programu, który był w ten sposób realizowany. Czyż takim programem wpływa się na krzewienie kultury polskiej wśród ludności autochtonicznej? Na pewno nie. Nie wiemy dokładnie, w jakich warunkach finansowych pracuje Teatr Młodych im. M. Kajki, sądzimy jednak, że nie boryka się on z takimi trudnościami jak wiele teatrów amatorskich rozsiansych po terenie warmijsko-mazurskim. Czyżby nie lepiej było przygotować coś bardziej wartościowego i sugestywnego i z tym wyruszyć w teren? Nie zapominajmy, że rolę tę z powodzeniem mogą spełnić teatryki amatorskie, jakie istnieją w Lidzbarku, Łuczaniech, Iławie i Pasieku, choć i te w niektórych wypadkach mają ambicje większe. Taki teatr amatorski w Iławie potrafił przy skromnych funduszach własnych wystawić komedię obyczajową B. Winawera p. t.: „Roztwór prof. Pytla“ oraz przekład z francuskiego p. t. „Lunatyk“. Teatr w Lidzbarku wystawił między innymi „Zemstę“ Fredry oraz „Sąd nad latarnikiem“ Ilońskiego. Nie mniejszymi sukcesami mogą się poszczycić Łuczanie i Pasiek. Teatr ludowy Mazurskiego Uniwersytetu Ludowego w Pasymiu wystawił szereg sztuk Małka, które są oparte motywami o folklor mazurski. Są to na prawdę osiągnięcia poważne, zważywszy na trudności materialne, z jakimi walczy w małym mieście

wództwa, wystawiając we wszystkich miastach powiatowych ten repertuar — naturalnie tam, gdzie istniały odpowiednie warunki lokalowe. Jakkolwiek imprezę tę należy uznać za godną poparcia i świadczy ona o zrozumieniu potrzeby krzewienia kultury teatralnej na ziemiach warmijsko-mazurskich, mamy poważne zastrzeżenia co do samego programu, który był w ten sposób realizowany. Czyż takim programem wpływa się na krzewienie kultury polskiej wśród ludności autochtonicznej? Na pewno nie. Nie wiemy dokładnie, w jakich warunkach finansowych pracuje Teatr Młodych im. M. Kajki, sądzimy jednak, że nie boryka się on z takimi trudnościami jak wiele teatrów amatorskich rozsiansych po terenie warmijsko-mazurskim. Czyżby nie lepiej było przygotować coś bardziej wartościowego i sugestywnego i z tym wyruszyć w teren? Nie zapominajmy, że rolę tę z powodzeniem mogą spełnić teatryki amatorskie, jakie istnieją w Lidzbarku, Łuczaniech, Iławie i Pasieku, choć i te w niektórych wypadkach mają ambicje większe. Taki teatr amatorski w Iławie potrafił przy skromnych funduszach własnych wystawić komedię obyczajową B. Winawera p. t.: „Roztwór prof. Pytla“ oraz przekład z francuskiego p. t. „Lunatyk“. Teatr w Lidzbarku wystawił między innymi „Zemstę“ Fredry oraz „Sąd nad latarnikiem“ Ilońskiego. Nie mniejszymi sukcesami mogą się poszczycić Łuczanie i Pasiek. Teatr ludowy Mazurskiego Uniwersytetu Ludowego w Pasymiu wystawił szereg sztuk Małka, które są oparte motywami o folklor mazurski. Są to na prawdę osiągnięcia poważne, zważywszy na trudności materialne, z jakimi walczy w małym mieście

inicjatywa ludzi dobrej woli. Dlatego też chcielibyśmy jak najprędzej widzieć w Teatrze Młodych — teatr produkujący pod każdym względem wszystkim poczynaniom na polu krzewienia kultury teatralnej w województwie olsztyńskim. Możliwości i zadania do wykonania są ogromne. Teatr amatorski Olsztyna może wnieść się na poziom nieprzeciętny. A wtedy znacznie on spełniać swą rolę w doskonały sposób godny najlepszych tradycji teatru amatorskiego w Polsce. (j. ant.)

Wystawa ziemi Nyskiej

Pierwsza wystawa „Muzeum w Nysie“ została otwarta w dniu 8. II. br. w lokalu użyczonym na ten cel przez dyrekcję „Ośrodka Szkoleniowego Energetyki“, ul. Szopena 24. Na wystawę składają się: widoki i plany starej Nysy oraz zabytków architektonicznych Ziemi Nyskiej, zabytki cechowe: procesyjne świeczniki XVII-wieczne z kościoła Św. Jakuba, skrzynie cechowe, pu-chary, haftowane godła cechowe z XVI i XVII w., bogaty zbiór rzeźb drewnianych z XIV—XVIII w. z najstarszym zabytkiem rzeźby kościelnej w Nysie: Ukrzyżowanym Chrystusem z kościoła Św. Jakuba z roku 1370, ślaskie malowidła na szkle, bliskie formą i treścią malowidłom ludowym innych ziemi polskich, ceramika śląska z Pruszkowa, Glinicy i Bolesławca, odlewy Gliwickie z pierwszej połowy XIX w., nyskie naczynia cynowe, oraz piękny zbiór kropelniczek cynowych z XVIII w., bogate oprawy książek, tłoczone w skórce z XVI, XVII i XVIII w. z biblioteki kościoła Jezuitów w Nysie, zbiór obrazów z XVI—XIX w. St. Kr.

JOHN KNITTEL

Abd - el - Kader

POWIEŚĆ

Stron 352 Zł 450,—

KSIĘGARNIA
Zdzisław Gustowski
POZNAŃ

Wielka 10 Św. Marcina 34
Tel. 21-30 Tel. 94-89

Z Opery Śląskiej

Ostatnią premierą operową było arcydzieło moniuszkowskie „Halka“ w całkowitej zmienionej szacie dekoracyjnej, kostiumowej i w nowej koncepcji reżyserskiej. Nie będę mówił o samej operze i wykonawcach, gdyż tylko za wyjątkiem nielicznych zmian obsada pozostała dawna. Interesującym byłoby pozyczenie pewnych obserwacji uodnośnie nowej koncepcji Halki. Zaczynamy od rozwiązania dekoracyjnego. W nowym wydaniu pierwszy akt dzieli się na szereg obrazów, przenosząc widza w coraz to inne miejsce dworu Miecznika. Dwór jego jest typowym pałacykiem podmiejskim XX stulecia z balustradą żelazną na wysokim kamiennym podmurowaniu. Na tle tego pałacyku brać szlachecka wesoło sobie barskuje w kontuszach i innych rekwizytach XVII—XVIII wieku. To nałożenie jednoczesne dwóch epok tak różny jest może ciekawe eksperymentalnie, ale niezbyt szczęśliwe, jeśli chodziłoby o stylową jedność obrazu. Natomiast bardzo dobrze pomyślaną sceną jest tercet pomiędzy Miecznikiem, Paniczem a Zofią na tle kominka (nota bene tcz niedworskiego). Cała ta scena utrzymana jest w ciepłych, miękkich barwach złotawo-żółtych. Następna scena przedstawia dziedziniec pałacu (z drugiej strony), który tak mało odbiega w swojej koncepcji architektonicznej od sceny pierwszej, że mimo woli nasunęła się ciępką uwaga o stułetnim drzewie, które na przestrzeni kilkunastu minut zdołało wyrosnąć na dziedzińcu. Wartaloby nieco bardziej zróżniczkować obie sceny... Akt trzeci ma miejsce przed karczmą góralską. Obraz pomyślany do brze — a doskonale w barwie i ruchach tańce nadają całemu obrazowi tempo i swoisty urok stylizowanego folkloru. Również dobrym jest obraz ostatni. Reasumując nowe wydanie starej Halki, pomijając wszystkie „pro i contra“ stwierdzić trzeba, że zasługuje ono choćby dlatego na uznanie, że się wreszcie dało coś nowego. Na przyszłość jednak starajmy się, ażeby ten folklor był jednolity, wypracowany konsekwentnie do najdrobniejszych sceny, do najmniej pozornie znaczącego szczegółu. Impreza ta dowiodła, że nasza opera może dużo zdziałać, mając środki materialne — bo chęci i dobrej woli w zespole nie brak. Najwyższy czas, ażeby czynniki miarodajne pomyślały o konkretnym, stałym subsydiu dla tej jedynej w Polsce instytucji operowej. Mówię „jedynej“, bo jakkolwiek i w innych miastach podobne placówki są czynne, stanowią one raczej ośrodki ambicji, niż muzyki z prawdziwego zdarzenia. Oczywiście ambicje też należy cenić...

Ryszard Bukowski

Teatr Miejski w Sosnowcu

PANNA MALICZEWSKA, sztuka w trzech aktach Gabrieli Zapolskiej, reżyseria Tadeusza Przystawskiego, dekoracje Zygmunta Łopuszyńskiego. Premiera 8. II. 1947.

W tzw. powojennym renesansie Zapolskiej sporą rolę odgrywa konieczność. Wszystkie teatry korzystają w tej czy innej postaci z funduszy państwowych, co stawia pewne ograniczenia w zakresie lekkiego repertuaru i hamuje zbytnie zapędy w kierunku wystawiania tak licznie przed wojną prezentowanych na naszych scenach zagranicznych fars. Przy tym farsy te przez wojnę mocno zwietrzały i smakują dziś często jak szampa, który dawno wymusował. Zapolska ratuje więc repertuar naszych teatrów na równi z Fredrą i Bałuckim, a trójce tej przyzwano ostatnio na pomoc nawet Blizińskiego z „Rozbitkami“, których obwozi po Polsce p. Strasz-Leszczynski. Ratuje ten repertuar Zapolska głównie „Moralnością pani Dulskiej“, słabiej „Skizem“ i „Ich czworo“, gdzieś tam przypominano także „Pannę Maliczewską“. Z teatrów śląskich grał ją już Wrocław, ostatnio ujrzelśmy tę sztukę w Sosnowcu.

„Panna Maliczevska“, to obrazek obyczajowy sprzed dobrych trzydziestu-czterdziestu lat, dziś już pod wieloma względami nieaktualny, chociaż problem życiowy tutaj postawiony ma i dzisiaj swój, że tak powiem, ciąg dalszy. Początkujące aktorki nie szukają już tak okrzęnych dróg do dyrektora jak

sprzedawanie się jego rzekomym przyjaciółom. Stosują taktykę bezpośrednią, najbardziej skuteczną. Naturalnie nie wszystkie. Ale są dyrektorzy, którzy mają w tym względzie zdecydowane zasady i wymagania. Sekundują im dzielnie niektórzy reżyserzy. Tak więc dalej toczy się światek, jakby rzekł Kandyd z „Kuźnicy“. Obrazek Zapolskiej odznacza się właściwą tej pisarce gorzką i ostrą prawdą, surowym realizmem, świetnie i z pasją zarysowanymi postaciami, doskonale skomponowanymi sytuacjami. Pomimo lat, jakie dzielą nas od atmosfery tej sztuki i od jej „bohaterów“, pomimo tej problematyki, która już straciła na ostrości — patrzymy nań z zainteresowaniem, które i w tym wypadku rzadko zawodzące pióro Zapolskiej potrafi sobie w widzu teatralnym wywalczyć.

Tadeusz Przystawski jako reżyser widowiska popracował nad nim szczerze. Pracę tę tym więcej należy ocenić, że materiał aktorski ma w dużej mierze świeży i oporny przez brak wyrobienia i techniki. Ale i z tego materiału umiał wydobyc to, co potrzeba, jak świadczy o tym scena drugiego aktu ze studentami, którzy stworzyli doskonale zindywidualizowane, charakterystyczne typy i nieźle grali jako całość. Mniejszy sukces przyniósł mu akt pierwszy, wyraźnie pozbawiony tempa, rozwlekły głównie przez rolę Żelaznej, z którą nie umiała sobie dać rady p. Michalska. Temu zwolnionemu tempu poddali się wszyscy wykonawcy, którzy w następnych znacznie lepiej rozwijających się aktach potrafili się z tego otrząsnąć. Z zespołu wyróżniła się p. Alicja Kamińska, aktorka o wyraznym talencie, zupełnie już dobrej technice, widocznej w mówieniu kwestii, ruchach, geście i mimice, czująca się na scenie swobodnie i pewnie. Trochę za wyraznie „robiła temperament“ Maliczewskiej, ale całość roli wypadła korzystnie, można powiedzieć, że się wyróżniła obok zupełnie dobrego Dauma (Marian Mariański) i Michasiowej (Janina Pitołajówna) przy słabszych lub zaledwie poprawnych rolach pozostałych. Teatr sosnowiecki ma niestety zespół o dosyć dużej rozpiętości, mało wyrównany, stąd w każdym przedstawieniu pojawiają się te same aktorskie mankamenty, co jest i o tyle złe, że publiczność może się do tego przyzwyczaić.

P. Łopuszyński jako dekorator nie miał wielkiego pola do popisu zwłaszcza w akcie drugim, gdzie trudno coś osobliwego wymyślić. W akcie pierwszym dał mocne w wyrazie naturalistyczne wnętrza sutereny.

Zdzisław Hierowski.

Piśmiennictwo ludowe

Wraz z rozwojem ideologii demokratycznej w dziejach naszych XIX w. rośnie w społeczeństwie polskim zainteresowanie się kulturą ludu wiejskiego. Przed oczyma badaczy odsłonił się osobliwy świat wytworów artystycznej wyobraźni ludu. Opowiadania, piosenki, legendy, bajki, „bajecznie kolorowe“ stroje, kościółki ozdobione rzeźbą, przedmioty codziennego użytku — wszystko to świadczyło o poczuciu piękna u ludu.

Badacze kultury ludowej nie tylko zachwycali się zewnętrznymi objawami odmienności życia duchowego ludu. Nasuwały się im w związku z tym głębsze problemy. Wielu publicystów polskich już na początku XIX w. doszło do przekonania, że lud polski piastuje w sobie zadatki na własną kulturę duchową, odrębną od dotychczas panującej, bynajmniej od niej nie niższą, a mającą dane, by się rozwinąć, zakwitnąć i dać podstawę odrodzeniu narodowemu.

Pod wpływem tych poglądów warstwa inteligencji zaczęła szukać natchnienia w świecie kultury ludowej do nowych dzieł i stąd w XIX w. obserwujemy olbrzymi wkład ludu w budowę kultury narodowej.

Postępy urbanizacji zaczęły czynić w zasobach kulturalnych ludu olbrzymie spustoszenie. Wielu badaczy wyraziło obawę, że pod wpływem miejskiej kultury ulegnie zanikowi obyczaj wiejski, strój i sztuka. Miłośnicy regionalizmu wystąpił z hasłem otoczenia troskliwą opieką wytworów ludowych. Zwłaszcza na Śląsku ów ruch regionalistyczny wydał poważne owoce.

Wszyscy badacze kultury ludu zajmując się bardzo różnorodnymi dziełami twórczości chłopów przeoczekali dotąd znamieny, a jakże ciekawy przejaw jego myśli i uczuć, jakimi są utwory literackie. Dziwić się można, że nikt dotąd z historii literatury nie zajął się tym tematem w sposób źródłowy i nie zbadał, na czym polega wartość tej dziedziny piśmiennictwa polskiego. Dopiero w dobie po wojnie światowej wytworzył się przychylniejszy klimat do opracowania tego tematu. Poważne już wyniki w zbudowaniu piśmiennictwa ludowego osiągnął K. L. Koniński w pracy p. t. Pisarze ludowi. St. Pigoń przystąpił do opracowania tego tematu z właściwą sobie kulturą literacką, toteż wyniki jego badań przeszły wszelkie oczekiwania.*

Prof. St. Pigoń także stoi na stanowisku równorzędności kultury „sfer wyższych“ i ludu. Przy-

kładem tego jest właśnie literatura ludowa będąc wyrazem psychiki chłopu. Swoistość psychiki chłopu powstaje pod wpływem odmiennych czynników działających w takim zespole socjologicznym jaką jest wieś. Już owa odmienna postać duchowa chłopu musi się zaznaczyć w jego utworach innymi pierwiastkami treści. Nie mniejszą wagę w kształtowaniu literackim posiada właściwy ludowi typ wyobraźni i inna postawa wobec życia.

Ale nie na tym poglądzie, że literatura ludowa jest wyrazem odmiennej psychiki chłopu, polega główna wartość dociekań prof. St. Pigionia. Autor z tej oczywistej zasady wyciąga wnioski dotąd nigdzie nie spotykane, w całym piśmiennictwie polskim, a bodaj i europejskim. Ustala szereg kardynalnych zasad, które winny się stać podstawą ujęcia problemu literatury ludowej we właściwy sposób.

Podstawową tezę, jaką prof. St. Pigoń postawił u progu swych badań, jest następujące twierdzenie: „Nowoczesnym piśmiennictwem ludowym zwać będziemy to, które powstaje na wsi dzisiejszej, mając za autorów włóścian pracujących na roli, związanych z nią społeczną działalnością.“ A więc nie są twórcami ludowymi ci, którzy pisali książki dla ludu albo odtwarzali w swych dziełach obrazki z życia ludu albo też pochodząc z wsi mieszkają jednak w mieście i uprawiają w swych dziełach tematykę ludową. Zwłaszcza w ostatnich czasach powstały próby wyodrębnienia twórczości proletariackiej oraz ludowej jako pewnych oddzielnych ruchów literackich. Czyniło się nawet wysiłki, by dla pisarzy pochodzenia chłopskiego stworzyć pewne ramy organizacyjne i uczynić ich reprezentacją piśmiennictwa ludowego. St. Pigoń wszystkim tym twórcom odmawia miarę na pisarzy ludowych, gdyż istotą tu jest konieczność bytowania na wsi i pracy na roli. Ze zdziwieniem dowiadujemy się, że takich pisarzy ludowych istniała w Polsce poważna liczba i pisarstwo wiejskie mimo rozwoju urbanizmu nie zanika. Bo też prof. St. Pigoń dokonał nielada trudu, by wydobyc z zapomnienia nazwiska pisarzy wiejskich i odszukać bogaty materiał ich twórczości.

W obrazie literatury ludowej St. Pigoń miał na uwadze nie tylko charakterystykę działalności pisarzy autorów-chłopów, ale przedstawienie tego, jak w nich „wypowiada się dźwigająca się świadomość stanowa i samopoczucie narodowe ludu wiejskiego“. Stąd najpierw daje rys historyczny budzenia się ludu, wkroczenia warstwy chłopskiej na arenę polityczną wraz z dziejami czasopiśmiennictwa, redagowanego dla ludu. Do walki o właściwe stanowisko obywatelskie ludu w narodzie wystąpiła przede wszystkim publicystyka. Publicystyka ludowa nie ograniczała się jednak tylko do rozważania interesów klasowych, ale coraz silniej obejmowała problemy całości Polski, przemysliwała nad rozwiązaniem spraw związanych z jej przyszłością. Charakterystyka najwybitniejszych publicystów ruchu ludowego: M. Szarka, Bojki i Witosa świadczy, że lud „czuje się organicznie związany z życiem dziejowym Polski jako ze swą schedą“.

Pokrewni duchem publicystyce są pamiętnikarze wiejscy, gdyż w swych wspomnieniach zdają sprawę raczej z toczących się wokół nich przemian społeczno-obyczajowych, aniżeli osobistych uczuć. Widać to u wybitnego znawcy stosunków wiejskich, J. Słomki, którego autor nazywa chłopskim Kitowiczem.

Najpoważniejszym jednak dobrem literatury ludowej jest poezja. W charakterystyce poezji ludowej ustala St. Pigoń nowe zasady jej oceny.

Literatura ludowa jest przede wszystkim użytkowa, stosowana, mająca na celu walkę o równoprawienie ludu. Nie można do niej stosować kryteriów oceny estetycznej, wyrobionej na podsta-

wie inteligenckiego smaku. „Sztuka, poezja, nie jest tu afetą stylizacyjną, ani nawet szlachetną zabawą jakiejś wysubtelnionej jednostki. Jest jedną z form działania w tej służbie, a bynajmniej nie celem sama dla siebie: nie przyjemność ma przynosić, nie rozrywkę, ale pożytek społeczno-moralny.“ To jedno. A drugie, wartość jej polega na dostosowaniu się do gustów ludu wiejskiego, któremu podobają się takie właśnie utwory, i dlatego spełnić może doskonale swą funkcję społeczną. Na tej zasadzie uważa St. Pigoń, że rola poezji ludowej jest równie ważna w kulturze narodu jak i dzieła umieszczone w bibliotekach i dlatego tyle poniósł trudu, by zbadać olbrzymi materiał i na jego podstawie wyróżnić ważniejszych poetów ludowych.

„Poezja ludowa czyni zadość — twierdzi St. Pigoń — realnym potrzebom duszy zbiorowej, kryje w sobie wartości przynależne każdemu rozwijającemu się życiu duchowemu.“ Dowodem tego jest przegląd najwybitniejszych poetów ludowych (od 1820 do 1910 r.) ujęty w sposób wyrazisty i interesujący. Oto ich nazwiska: J. Rak, M. Szarek, J. Myjak, Fr. Magryś, H. Stopa, A. Kucharek (Jantek z Bugaja), K. Sawczuk, W. Zawada, F. Kuraś, A. Marzec, Jan Marcinek. Wśród nich spotykamy także nazwiska śląskie: Jana Kupca, samorodnego poety spod Pszczyny, autora „Powieści i bajek śląskich“, poematów historycznych oraz obyczajowych, Jesionowskiego z Piekar, Fr. Wilczka z Małego Dobrynia (Śląsk Opolski), Janka Kanię z Słodowic, który był płodnym piosenkarzem okolicznościowym i autorem komedijek do teatru amatorskiego. St. Pigoń nie omawia innych pisarzy śląskich jak n. p. J. Ligonja, czy A. Sikory lub gawędziarza W. Hajdy, gdyż — jak zaznacza — byli ludźmi nie od pluga, ale od warsztatu.

W literaturze ludowej zajmują także poczesne miejsce utwory gawędziarzy wiejskich: opowiadania, bajki, legendy, humorystyczne obrazki itp. Prawozorem gawędziarskiej twórczości jest góral z Zakopanego Sabała. Miał on później wielu naśladowców, a wśród nich był także Jędrzej Wawro ze Śląska Cieszyńskiego.

„Zarys literatury ludowej“ St. Pigionia jest więc książką wyjątkową. Na tle dzieł o kulturze ludowej wyróżnia się nowością tematu, którego omówienie pozwoliło autorowi rzucić nowe światło na rozwój odrodzenia duchowego ludu w XIX w. Posiada też owa książka znaczenie pierwszorzędnej wagi w historii piśmiennictwa polskiego. Omawia bowiem dzieła literackie warstwy chłopskiej, która chociaż liczebnie stanowi przewagę w społeczeństwie, to jednak nie ma swych nazwisk na kartach historii literatury tak, jakby nie była zdolną do twórczości. Przewartościowanie dotychczasowego układu kultury narodu, w której poeci chłopci winni znaleźć odpowiednie miejsce — oto niespożyta zasługa książki St. Pigionia. Napisał ją autor piękną, zdrową polszczyzną, bez narzutów obcego słownictwa. W ujęciu treści książka stanowi przykład trafnej, subtelnej analizy literackiej zarysowującej każdy szczegół w sposób nie tylko przekonywujący, ale z dużą wnikliwością w istotę rzeczy.

Śląsk nie jest tylko krainą kominów, ale w dużej swej części jest terenem pól uprawnych i lasów. I tu mieszka lud wiejski, który również posiada własną samorodną kulturę. Nasuwa się więc uwaga na marginesie książki St. Pigionia, czy słusznym jest to, że zainteresowania nasze są jednostronne, gdyż dotyczy przeważnie ośrodków miejskich. Należałoby patrząc na przyszłe drogi kultury na Śląsku rozważyć niejedyn problem dotyczący kultury ludowej tej ziemi, a między innymi zająć się pisarzami ludowymi.

St. Kasztelowicz

* St. Pigoń: Zarys kultury ludowej.



Wśród czasopism

Czasopisma o charakterze literacko-społecznym przechodzą ostatnio passę ankiety. „Twórczość“ rozpoczęła już w grudniu druk ankiety zamkniętej, mającej na celu ocenę dorobku literatury polskiej w okresie międzywojennym. „Odrodzenie“ nadało formę konkursu literackiego ankiecie na temat „którą książkę dwulecia 1945—1946 uważam za najlepszą?“, zapowiadając nagrody pieniężne i książkowe (może chodzi tu o materiał orientacyjny dla jury dorocznej nagrody „Odrodzenia“, które nie będzie bynajmniej miało łatwego zadania przy wyborze laureata dla tej poważnej nagrody?). Podobne pytanie stawia redakcja tygodnika katolickiego „Dziś i jutro“, zwracając się z nim do pisarzy i publicystów. „Kuznica“ znów rozpisuje plebiscyt wśród czytelników w sprawie „jakich dziesięć książek z zakresu literatury polskiej i obcej należy w Polsce wydać najszybciej?“. We wszystkich tych poczynaniach ankietowych widać coś więcej, niż chwył redakcyjny w kierunku ożywienia pisma czy spopularyzowania go. Chodzi tu niewątpliwie o znalezienie kontaktu i sprokowanie do wypowiedzi opinii w całym jej szerokim wachlarzu, rozważenie pewnych zagadnień literackich na szerszej płaszczyźnie, odczytanie barometru zainteresowań i sądów. Ma to swoje niewątpliwie dodatnie znaczenie, pozwoli bowiem na zorientowanie się w ocenach szerszych kół czytelników pism literackich, co nie jest bez znaczenia wobec faktu, że pisma te dysponują dziś znacznie szerszym i bardziej zróżnicowanym zasięgiem odbiorców, niż przed wojną. A tego rodzaju ankieta jak ta, którą zapoczątkowała „Twórczość“, pozwoli na zbliżenie literackiego dorobku dwudziestu lat niepodległości, o którym od dwóch lat pojawiło się sporo lekkomyślnych i nieprzemyślanych sądów. Pomędzy odpowiedziami na poszczególne ankiety rysują się bez wątpienia różnice i rozbieżności, ale i one będą interesujące.

Wśród ankiet tego rodzaju znalazła się również i ankieta dla czytelników tygodnika, którym nie zajmowali się dotychczas. „Głos Anglii“ zwrócił się do nich z pytaniami, które mają stanowić zarazem ocenę dotychczasowej działalności redakcji jak i dawać odpowiedź postulującą w piśmie zmiany odpowiadające zainteresowaniom i potrzebom słuchaczy. Tygodnik ten wydawany przez brytyjskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych wychodzi już czwarty miesiąc w Krakowie. Wzbudził duże zainteresowanie. Początkowo było ono tak wielkie, że pismo z trudem można było otrzymać w kioskach. Teraz trudności te minęły, więc albo zwiększono nakład, albo zapłać czytelników nieco ostygł. Ci, którzy pamiętają spór polsko-brytyjski na temat komentarzy o polityce wewnętrznej rządu polskiego drukowanych w biuletynie ambasady brytyjskiej w Warszawie, i którzy spodziewali się jakichś sensacji politycznych o specyficznym posmaku, doznali srogiego rozczarowania. „Głos Anglii“ jest tylko głosem Anglii i tylko Anglią się zajmuje. Jest normalnym, przepisowo nudnym pismem propagandowym, które w superlatywach pisuje o tym wszystkim, co w Anglii jest piękne i pociągające, a przemilcza to, co się do propagandy nie nadaje. Ponieważ znaczna większość artykułów i cały materiał redakcyjny muszą być tłumaczone na język polski, a sztab tłumaczy nie zawsze staje na wysokości zadania, pismo jest często przykre w czytaniu przez styl ciężki, bezbarwny a nieradko i mało poprawny. To jest jedna ze słabszych stron pisma, która nie przyczynia się bynajmniej do zwiększenia poczytności. Tak samo ciężko i bez połotu redagowana jest całość. Czyta się to wszystko czasem i z zainteresowaniem, ale bez większego przekonania. Jeśli ktoś interesowałby się literacką stroną pisma, to poza drukowanym już dawniej szkicem o powieści kryminalnej wymienićby jeszcze można z ostatnich publikacji szkic informa-

cyjny „Angielska poezja międzywojenna“, szkic niestety powierzchowny, którego wartość ratują gładkie i budzące na pierwszy rzut oka zaufanie przekłady Czesława Jastrzębiec-Kozłowskiego. Pismo ma zresztą trudne zadanie. Chce informować wszechstronnie, pragnie być magazynem. Daje bieżącą kronikę wydarzeń politycznych w Anglii, omawia sprawy społeczne, gospodarcze, kulturalne (literatura i sztuki plastyczne), przynosi różnego rodzaju ciekawostki, liczny materiał ilustracyjny, informuje o sporcie i modzie, daje recenzje, fragmenty prozy, felietony. Tak różnorodny materiał trudno jest skoordynować w niewielkich rozmiarach numeru w całość konsekwentną i pełną. Wydaje się przy tym, że redakcja nie znajduje podejścia do polskiego czytelnika, nie umie do niego trafić, nie orientuje się w jego zainteresowaniach i ich kierunkach. Może nawet i zdaje sobie z tego sprawę, skoro ogłosiła wspomnianą ankietę. Ale niezależnie od tego przydałaby się tu szersza współpraca polskich piór. Polscy redaktorzy szybciej wyłowiliby z materiału, który stoi do dyspozycji, to wszystko, co polskich czytelników zaciekawia i pociąga. Także większe zaufanie budziłoby oświetlenie pewnych problemów przez publicystę polskiego, a przez taką współpracę pismo zyskałoby znacznie językowo i stylistycznie.

Miesięcznik „Życie Słowiańskie“ dopiero teraz zdołał się uporać ze swoim rocznikiem za rok 1946, wydając zeszyt potrójny (9—11). Zeszyt ten, blisko stustronicowy, przynosi materiał bardzo bogaty. Zwraca uwagę zwięzłość artykułów. Pod tym względem miesięcznik ten mógłby służyć za przykład niejednemu tygodnikowi. Wprawdzie jaszcz twierdzi w „Odrodzeniu“, że t. zw. kobyły wypychane są coraz bardziej z tygodników do miesięczników i kwartalników, ale stwierdzenie to nie znajduje niestety potwierdzenia w praktyce redakcyjnej. Te t. zw. kobyły królują niepodzielnie na łamach tygodników, zajmując bitymi rzędami petitu wielkie kolumny i odstraszać swymi rozmiarami od czytania. „Życie Słowiańskie“ na trzydziestu kilku stronach pierwszej części zeszytu drukuje czternaście artykułów, resztę numeru wypełnia natomiast przekładami poetów słowiańskich, kroniką i licznym materiałem sprawozdawczym dobranym celowo i zestawionym zajmującym w takich rubrykach, jak „Słowianoznawstwo naukowe“, „Nowe książki o Słowiańszczyźnie“, „Czasopisma słowiańskie“, „Sprawy słowiańskie w prasie polskiej“, „Teatr i film słowiański“, a nawet „Ze sportu słowiańskiego“. Z artykułów na wspomnianą powyżej ogólną ilość aż pięć dotyczy spraw czechosłowackich. A. Kuliewicz pisze o konspiracji polsko-czeskiej w Sachsenhausen, Wł. Urbańczyk o

Fotografie z Powstania Warszawskiego

Sekcja Dokumentacji Instytutu Zachodniego opracowuje IV tom Documenta Occupationis Teutonicae pt. „Warszawa w ogniu“. Na treść tej pracy złożą się autentyczne dokumenty, dotyczące życia i walk powstańczej Warszawy. Jest zamiarem Instytutu wyposażyć pracę w możliwie bogaty zbiór fotografii. W związku z powyższym Instytut zwraca się do wszystkich zainteresowanych i mogących pomóc o łaskawe wypożyczenie fotografii wzgl. udzielenie informacji, gdzie i w jaki sposób można by fotografie uzyskać.

Jeśli to jest możliwe, Instytut prosi uprzejmie o skreślenie najważniejszych uwag dotyczących fotografii.

Instytut zapewnia, że po dokonaniu odbitek zwróci niezniszczone fotografie właścicielom.

Wszystkie związane z tym koszta pokrywa Instytut.

Adres: Instytut Zachodni, Instytut Badawczo-Naukowy, Poznań, ul. Chełmońskiego 1.

T. G. Masaryku w dieściecielecie śmierci, Stefan Wierczyński o polsko-czeskiej współpracy bibliotecznej, Juw o Antonim Dworzaku a W. Goszczyński o znaczeniu portu w Szczecinie dla Czechosłowacji. Na drugim planie stoja sprawy luzyckie i jugosłowiańskie. W części kronikarsko-sprawozdawczej uwzględnione są na równi wszystkie państwa słowiańskie. Na uwagę zasługuje wybór wierszy dwunastu poetów słowiańskich, reprezentujących osiem narodów. W tym dziale przekładów po raz pierwszy góruje Antoni Brosz nad majoryzującym dotychczas wszystkich tłumaczy poezji słowiańskiej K. A. Jaworskim.

Byłoby dobrze, gdyby tak pożyteczne, potrzebne i interesujące pismo, jakim jest „Życie Słowiańskie“ zdołało w roku bieżącym przezwyciężyć swoje trudności podobno tylko technicznej natury i zaczęło ukazywać się regularnie.

(ki)



Tydzień Katowic

12. II. — 19. II. 1947 r.

ZYCIE LITERACKIE

15. II. W Studio Literackim przy Z. Z. L. Tibor Csorba wygłosił wykład pt. „Współczesna literatura węgierska“.
16. II. „Trybuna Robotnicza“ podjęła ponownie tygodniową kolumnę literacką, tym razem pt. „Sygnały“.
17. II. Wieczór Klubu Literackiego. Wilhelm Szewczyk wygłosił prelekcję pt. „Ruch kulturalny w Niemczech dzisiejszych“.
18. II. Posiedzenie Komisji Literackiej Instytutu Śląskiego. M. Markowski referował swą pracę pt. „Diariusz faktów kultury śląskiej 1945—1946“.

ZYCIE MUZYCZNE

16. II. odbył się Popołudniowy Koncert Filharmoniczny orkiestry Filharmonii Państwowej. Dyrygował W. Krzemieński. Soliści: Barbara Sawicka (sopran) i Józef Katin (tenor). W programie muzyka operowa i operetkowa.

ZYCIE PLASTYKÓW

13. II. nastąpiło otwarcie Wystawy Malarstwa i Rysunków członków Katowickiego Oddziału Z. Z. A. P. Wystawiają: Ace-dańscy, Baczarowscy, Dutkiewicz, Grychowska, Bulak, Kowalewicz, Kowalerewska, Łanicki, Piwowarski, Rak, Rafiński, Strawiński, Wyrozęmscy i Zemlat.

INNE

14. II. Odbyło się plenarne posiedzenie sprawozdawcze Wojewódzkiej Rady Kultury.

Słowo, muzyka i śpiew we Wrocławiu

Na pożegnanie starego roku, zamiast stereotypowej rewii sylwestrowej zobaczyliśmy w wykonaniu artystów Teatrów Dolnośląskich premierę (a właściwie wznowienie, gdyż sztuka ta była już grana w poprzednim sezonie w Jeleniej Górze z małymi odchyleniami w obsadzie) amerykańskiej komedii G. Montgomerie'ego „Dzień bez kłamstwa“. Wesoła ta bzdura modna jest obecnie w Polsce i nie ma miasta, w którym by nie ukazała się na deskach skądinąd szanowanych teatrów. Na nasz gust jest ona conajmniej (delikatnie mówiąc) głupia. Mimo to z perypetii bohaterów usiłujących w nas wmówić, że prawda ogromnie utrudnia współzycie, śmiejemy się bez trzasko, jak ze słynnych filmów z Chester Conclinem, albo z Flipem i Flapem.

Reżyser Jerzy Walden obrał w przedstawieniu wrocławskim słuszną drogę przez pogranicze amerykańskiej farsy i lekkiej europejskiej komedii, stosując przy tym niezliczoną ilość „gagów“ i dowcipnych chwytów. W linii wyznaczonej przez reżysera doskonale utrzymali się: Jan Kurzakowicz (w pomysłowej i urozmaiconej postaci Ralstona), Jerzy Walden (Bob), Marian Nowicki (van Dusen) i Jerzy Sobieraj (Pastor).

Widziałem kilkakrotnie „Dzień bez kłamstwa“ wystawiony jako komedię muzyczną, uważam jednak, że bez wkładek muzycznych jest zabawniejsza i, co najważniejsze, zyskuje na tempie. Jedynie „opowiadka“ Mabel o niewinnej owieczce, aż prosi się o podkład muzyczny. Wnętrza Jędrzejewskiego i Langego na pewno nie olśniłyby amerykańskich businessmanów przepychem.

W ten sam wieczór sylwestrowy Filharmonia Wrocławska wystąpiła z lekkim koncertem, a właściwie rewią muzyczną, której poszczególne numery były zapowiadane.

Dyrygował Władysław Górzyński. Pod jego batutą lekkie i popularne melodie mieniły się barwną dynamiką i temperamentem. Czy nie szkoda jednak sprowadzać aż tak dobrego dyrygenta do prowadzenia kilku walczy Straussa, oklepanej L'Arlesienne Bizeta, jednej polki i marsza?

Jako solistka koncertu wystąpiła sopranistka Opery Dolnośląskiej Waleria Jędrzejewska, która bardzo inteligentnie, dźwięcznym głosem o przyjemnej świeżej emisji odśpiewała arię z „Carrewicza“ Lehara, pieśni Dworaka, Padilli, Curtisa, Niewiadomskiego i Różyckiego. Dyskretnie i z wielkim wyczuciem akompaniował na fortepianie prof. Piotr Łoboz. Konferansjerkę prowadził sympatyczny M. Nowicki.

Dnia 25 stycznia usłyszeliśmy w ramach VII Koncertu Symfonicznego Filharmonii Wrocławskiej C. M. Webera Uwerturę do Oberona, 5 pieśni W. Kałki-Różyckiego i Piotra Czajkowskiego VI Symfonię Patetyczną. Umieszczenie nowoczesnych pieśni Kałki między Weberem i Czajkowskim nie wydaje mi się szczęśliwe.

Symfonia Patetyczna wymaga szczególnie mocnej obsady w smyczkach, które, poza dwoma pierwszymi pułtami, nie należą do najmocniejszych punktów Filharmonii Wrocławskiej. Partie altówkowe zupełnie nikły, czego naturalnym następstwem było wybijanie się blachy, a przede wszystkim puzonów. Uwerturę do Oberona wykonano poprawnie. Słowa uznania natomiast należą się dyrygentowi Stefanowi Syrylle za pełne wycucia poprowadzenie trudnych fakturalnie pieśni Kałki. Solistka wieczoru Olga Łada oczarowała nas kulturą śpiewaczą, niezwykle umiejętnym prowadzeniem głosu i pełną dramatycznym wyrazu frazą. Przy wielkiej niestety posusze na poważnych pieśniarzy i pieśniarki w Polsce, Olga Łada jest zjawiskiem wyjątkowym. Publicz-

ność, która we Wrocławiu nie ma nowoczesnej muzyki, była po częściej sposobności do słuchania pierwszej pieśni Kałki nieco zdezorientowana, w miarę jednak słuchania rozsmakowała się w tej niełatwej zresztą muzyce i żywiołowymi oklaskami zmusiła wykonawczynią do powtórzenia pieśni „Żal“.

VIII Koncertem Symfonicznym (2 lutego 47) dyrygował Stanisław Skrowaczewski. Solistką wieczoru była skrzypaczka Bronisława Rotsztatówna. Program obejmował W. A. Mozarta Uwerturę do „Uprawdzenia z Seraju“, F. Mendelsohna koncert skrzypcowy e-mol i St. Skrowaczewskiego I Symfonię (Klasyczną) op. 10.

Stanisław Skrowaczewski w bardzo pięknym stylu poprowadził uwerturę do „Uprawdzenia z Seraju“ i koncert Mendelsohna, wydobywając wszystkie subtelnosci klarownej muzyki Mozarta i romantyczną kantylenę i barwność muzyki Mendelsohna. Młody ten dyrygent ma bardzo dobrze opanowaną technikę (szczególnie wyrazistą w ręce lewej) i każde jego wykonanie wykazuje głębokie i sumienne opracowanie muzycznego tekstu.

Jako kompozytor zareprezentował się w jednym z pierwszych swoich dzieł. Symfonia klasyczna posiada nużące dłużyzny i ma szczególnie w I części (Allegro con brio o zbyt częstym powtarzającym się motywem rytmicznym) który nasuwa skojarzenia z beethovenowskim motywem z V Symfonii o odwróconym porządku rytmicznym) i części IV (Finale Allegro) charakter raczej szkolny o niewykończonych wątkach melodyjnych. Natomiast część II (Adagio molto) o ciekawym motywie prowadzonym przez instrumenty smyczkowe i drewniane dęte daje świadectwo o nieprzeciętnym talencie kompozytora i znajomości współbrzmienia instrumentów i zmusza słuchacza do śledzenia poszukiwania nowych dróg przez Skrowaczewskiego. Swój kierunek znalazł Skrowaczewski w swoich późniejszych kompozycjach. Preludium i fuga, a przede wszystkim bardzo ciekawe pieśni na sopran z orkiestrą, które słyszałem przed rokiem w Krakowie, ukazują nam młodego kompozytora w znacznie dojrzałszej formie.

Orkiestra dobrze brzmiąca w dwu pierwszych numerach programu symfonię Skrowaczewskiego, grała jakby bez przekonania, co znacznie osłabiło efekt wykonania. Szczególnie w instrumentach smyczkowych dało się zauważyć „rozspychanie się“.

Solistka Bronisława Rotsztatówna posiada wielką technikę palców lewej ręki i smyczka i świetnie zróżnicowaną dynamikę, mimo dość właściwie niskiego tonu. Brak pełnego tonu dał się szczególnie zauważyć w pierwszym „wejściu“, gdzie skrzypce powinny jaśnieć triumfalnie nad przytłumionym akompaniamentem orkiestry. Natomiast kantylenę w części „Andante“ odegrała bardzo przekonująco, a piękną kadencję swobodnie i lekko.

Wielka szkoda, że na tak ciekawym i wartym usłyszenia koncercie nie dopisała publiczność. Nie wiem czy nie jest to też częściowo winą prasy, która dość obojętnie odnosi się do wysiłków Filharmonii Wrocławskiej. Nie wolno nam zapominać, że dzięki tej instytucji i jej twórcom i dyrektorowi St. Syrylle, usłyszeliśmy już kilkadziesiąt koncertów symfonicznych stojących na wysokim poziomie, a w długim szeregu solistów występowali artyści tej miary co Sztompka, Drzewiecki, Wilkomirscy, Dubiska, Umińska, Bandrowska-Turska.

Filharmonia Wrocławska dała tak poważny wkład do życia kulturalnego stolicy Dolnego Śląska, że zasłużyła sobie ze wszech miar na poparcie społeczeństwa i czynników nadrzędnych.

Wojciech Dzieduszycki

Wydaje Sp. Wyd. „Czytelnik“. Redaktor naczelny: WILHELM SZEWCZYK. Komitet Redakcyjny: Zespół „Odry“. Redakcja: Katowice, 3 Maja 36 a, II ptr. Telefon 325-58. Administracja: Katowice, 3 Maja 12. — Prenumerata miesięczna 40 zł, kwartalna 120 zł. Konto PKO III 4960. Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik“, 3 Maja 12. Złożono i oddito w drukarni nr 9 Sp. Wyd. „Czytelnik“, Katowice, 3 Maja 12. R 3703